CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 15 Lutego 1939 R. NR. 5-6

Sprawy kultury

W poprzednim numerze przedrukowaliśmy z „I.K.C." artykuł p. Zbigniewa Grabowskiego, pisany pod wrażeniem zetknięcia się na obczyźnie z filmem polskiej produkcji.

Film oglądany przez p. Grabowskiego w Londynie („Strachy" według powieści Ukniewskiej) jest podobno jednym z lepszych filmów polskich. Jest on drastyczny. Jednak nie drastyczność tematu ni treści jest źródłem przerażenia p. Grabowskiego. Źródłem tym jest stwierdzenie w filmie polskim, jednym z nielicznych, które dostają się na ekrany obce: braku kultury, braku godności, połączonej z małością zainteresowań.

Temat ten zasługuje na rozszerzenie. Życie polskie nie tylko w dziedzinie filmu i nie tylko w stosunkach z zagranicą dotknięte jest poważną chorobą, której wyrazem jest małość i płytkość zainteresowań. Ta małość i płytkość zainteresowań przejawia się w naszej dzisiejszej literaturze, w naszej publicystyce, w sposobie ferowania sądów, urabiania gustów i kryteriów. W zakresie twórczości artystycznej ona jest czynnikiem, narzucającym ostatecznie dylemat: albo fałszywy sentymentalizm, albo suteryny chamstwa.

Zagadnienie to jest poważniejsze, niżeli się pozornie wydaje. We wszystkich ocenach rzeczywistości polskiej, przy wszelkich próbach ustalania poglądów na rezultaty i kierunek przebywanej przez nas ewolucji, stale narzuca się jeden wniosek: warunki naszego rozwoju, zarówno międzynarodowe jak wewnętrzne, są trudne, lecz pomyślne. Decydującym jednak czynnikiem będzie człowiek, jego wartość moralna i intelektualna.

I tutaj dochodzimy do punktu wielokrotnie przez nas poruszanego. Jeśli przyszłość Polski w tak wielkiej mierze zależy od wartości duchowej społeczeństwa, to rzeczą najwyższej wagi jest jakość i rodzaj naszej kultury, poziom zainteresowań, stopień osiągniętych rezultatów.

Jakość i rodzaj kultury? — Na ten temat pisze się w Polsce ostatnio dość dużo. Niestety, dyskusja ta ograniczana jest często do ram niewiele przekraczających zakres zainteresowań kulturalnych pani Dulskiej. Punktem centralnym jest zainteresowanie zagadnieniem nie tyle treści, ile formy, nie tyle istoty, ile pozorów, nie tyle kultury, ile przyzwoitości — w jej najbardziej mieszczańskim i wąskim zakresie. Dla wielu, bardzo wielu arystarchów naszej krytyki przykładem niemoralnego dzieła będą do dziś „Dzieje grzechu" Stefana Żeromskiego, których wystawienie teatralne tak jeszcze niedawno było podniętą dla ostrych manifestacji akademickich w Teatrze Polskim w Warszawie.

*

W znanym liryczno-satyrycznym utworze Heinego papież Urban, odmawiając Tannhäuserowi rozgrzeszenia, motywuje to w sposób następujący:

„Der Teufel, den man Venus nennt,
Er ist der schlimmste von allen...

Zarówno pani Dulska, jak większość prasy polskiej, która stawia przed sobą zadanie czuwania nad drogami rozwoju naszej kultury, zdaje się wyznawać zdanie pobożnego papieża Urbana w sposób całkowicie dogmatyczny. Równocześnie jednak prasa ta zdaje się zupełnie nie doceniać roli i znaczenia innego biesa, tego, któremu literatura rosyjska nadała miano małostkowego („miełkij bies"), który jest uosobieniem wszelkiej małości, podłości, płycizny, braku głębszych zainteresowań i dążeń. Tymczasem w całości naszego życia bies ten odgrywa napewno szczególnie poważną rolę.

Pan Zb. Grabowski pisał w cytowanym parokrotnie artykule o treści filmu polskiego. Weźmy inną dziedzinę naszego życia kulturalnego: powieść popularną, powieść z odcinków gazetowych, którą karmią się najszersze masy odbiorców tej formy naszej kultury narodowej. Czyż tutaj nie widzimy ściśle tego samego zjawiska: albo fałszywy sentymentalizm, albo „suteryny chamstwa"? Przede wszystkim zaś zupełne niedostrzeganie istotnych problemów, obniżenie skali zainteresowań wyłącznie do najpłytszych sensacji.

Lata ostatnie przyniosły szczególny rozwój powieści popularnej specyficznego typu. Jest to powieść o charakterze paszkwilu na życie polskie. Zrodzona ze szkoły zdolnego pisarza, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, przez jego epigonów i następców doprowadzona została do absurdu. Wyłącznym niemal tematem zainteresowań jest przedstawienie specyficznego typu karierowiczostwa, odartego ze wszelkich wartości moralnych i intelektualnych. Jeżeli powieść jest zwierciadłem życia, to życie polskie, oglądane w zwierciadle szeregu popularnych powieści odcinkowych ostatniego okresu, byłoby niczym więcej, jak tylko mieszaniną kłamstwa, głupoty i szalbierstwa.

Oczywiście, zastrzec się należy przed uogólnianiem tego rodzaju sądu o współczesnej powieści popularnej. Niemniej, zjawisko tu omawiane jest zjawiskiem dość powszechnym. Znaczenie społeczne tego zjawiska nie może być lekceważone i to nie dlatego, że tego rodzaju powieść znajduje autorów, nawet nie dlatego, że jest ona szczególnie poczytna, lecz przede wszystkim dlatego, że powieść tę bez żadnych zastrzeżeń i skrupułów dostarczają masom pisma, uważające się szczerze za wykładnik i bastion ducha narodowego.

Musimy uczynić tu jeszcze i dalsze zastrzeżenie. Jeśli piszemy o tym zjawisku, to nie dlatego, byśmy chcieli zastosowania tu jakiejkolwiek cenzury policyjnej, czy społecznej, pozwalającej pisać o stosunkach w Polsce wyłącznie hymny pochwalne. Z punktu widzenia sprawy naszej kultury byłoby to więcej, niżeli nonsensem, byłoby błędem. Najostrzejsza satyra może być zjawiskiem społecznie dodatnim, musi jednak

być walką o usunięcie jakiegoś zła, nie afirmacją, płynącą z uznania jego powszechności. Multatuli, kiedy w przejrzystej aluzji rzucał pod adresem własnego kraju oskarżenie „nad morzem leży kraj rozbójników", walczył o reformę metod holenderskiej polityki kolonialnej; Gogol, kiedy malował obrazy głupoty i podłości rosyjskiego prowincjonalnego życia, umiał temu nadać kształt artystyczny, daleki od aprobaty; polskiej powieści popularnej brakuje zarówno zapału walki, jak i artystycznej formy. Jest to powieść zła i ze złem oswajająca. Przede wszystkim zaś jest to powieść mała pod każdym względem. Jeżeli w sferze ducha rodzaj otrzymywanego pokarmu odgrywa nie mniejszą rolę, niżeli w sferze ciała, to masy inteligencji polskiej są niezmiernie źle odżywiane, zamiast pokarmów otrzymują namiastki najgorszego gatunku, nieraz o własnościach wprost trujących.

*

Jak temu zaradzić? — Ostatnio dyskutowane są projekty, których wspólną cechą jest chęć biurokratyzacji kultury. Gdyby zestawić w jedno rozbieżne, lecz wzajemnie dopełniające się projekty, można by streścić je w zdaniu, że kultura ma być tworzona pod nadzorem, konsumowana pod przymusem.

Samo dyskutowanie tego rodzaju projektów dowodzi nienormalności stanu rzeczywistego. Stosowanie leków zaczyna się zazwyczaj tam, gdzie się pojawia choroba. Jednakże nie można przeceniać skuteczności środków leczniczych. Lekarstwo może być tylko elementem walki z chorobą, nie źródłem zdrowia. Nasze aspiracje w zakresie tworzenia istotnych wartości kulturalnych muszą iść bezporównania dalej, niżeli tylko do granic usunięcia przejawów chorobliwych.

Kultury nie można tworzyć środkami przymusowymi, ducha nie można sprzedawać w monopolowych butelkach. Jest to prawda tak stara, jak stary jest dorobek kulturalny ludzkości. Jeśli się chce mieć wyższą kulturę, trzeba umieć wzbogacić życie. Walka o ideały życia jest najlepszym katalizatorem procesów kulturalnych.

Walka o ideały życia? — Dla niektórych krajów Europy słowa te mogą już dziś wydawać się pewnym liczmanem. Dla nas, którzy tak długo byliśmy od pola walki tej odsunięci przez zewnętrzną zaporę niewoli, może ona być czynnikiem bardziej istotnym, niżeli dla wielu, którzy wiek XIX mogli wyzyskać pełniej i realniej dla wydobycia z własnych społeczeństw maksymalnych wysiłków i wartości.

Polska ma do odrobienia i nadrobienia zaległości nie tylko w zakresie niedostatecznego rozwoju sił materialnych. Mamy je również i w zakresie naszej kultury, która w wyższym stopniu, niżeli na zachodzie Europy, jest jeszcze kulturą tak zwanych niegdyś „warstw wyższych", kulturą przede wszystkim inteligencką.

Istotą epoki dzisiejszej w zakresie spraw kultury jest w dużej mierze fakt istnienia zjawiska, któremu można nadać miano raczej tragedii, niżeli zdrady, warstwy inteligenckiej, nazwanej niedawno przez francuskiego pisarza łacińskim mianem „clerców , warstwy, która w wieku XIX odegrała rolę niwy szczególnie plennej w stosunku do wszystkich wartości życia umysłowego Europy. Dziś warstwa ta zdradza sporo cech ugoru. W zjawisku tym niema nic dziwnego, z punktu widzenia praw przyrody jest ono naturalne. Jak powiedzieliśmy, jest to raczej tragedia, niżeli zdrada. Niemniej wielkie procesy historyczne, gdziekolwiek dziś zachodzą, nie dają się już w ramach tej warstwy zamknąć i pomieścić. Zarówno ustroje demokratyczne, jak faszyzm, czy hitleryzm, nie mówiąc już o Sowietach, musiały wyjść poza zakres tylko formalnego równouprawnienia najszerszych mas swoich narodów, szukając w tych masach również i nowych realnych źródeł zarówno siły, jak twórczości.

Polska ma pod tym względem niezmiernie dużo do zrobienia, rezultaty też może osiągnąć w tej dziedzinie szczególnie doniosłe. Nie jest to zresztą tylko pobożne i platoniczne życzenie odnośnie przyszłości. Jeśli położymy na jednej szali wydane ostatnio przez Państwowy Instytut Kultury Wsi (Józef Chałasiński — „Młode pokolenie chłopów") cztery tomy pamiętników młodzieży wiejskiej, na drugiej zaś szereg powieści, stanowiących pokarm duchowy t. zw. „inteligencji", to bez trudności stwierdzimy tę ogromną dysproporcję, jaka istnieje pomiędzy twórczym wysiłkiem poszukujących nowych i własnych prawd wędrowników i spacerem, szukających środków „zabicia czasu", wszystkim przesyconych i wszystkim znudzonych, schyłkowców.

Kto dzisiaj — nie bez głębokiej słuszności — martwi się stanem kultury polskiej, bezwartościowością naszego udziału w wielkim dorobku myśli ludzkiej, nie może w poszukiwaniu środków zaradczych ograniczać się do strony formalnej, musi wyjść zagadnieniu naprzeciw, szukać nie leków, lecz istotnych źródeł siły. I źródła może odnaleźć właśnie w tym, by pod uprawę kultury narodowej oddawać najszersze, dotąd ugorujące i pełne niewyczerpanych możliwości, obszary Polski ludowej i robotniczej, dokonać tego, o czym przed laty trzydziestu pisał Stanisław Brzozowski:

„Sprawcie, niech myśl urodzona w miejskiej klasie robotniczej zawładnie polskim włościaństwem, niech skojarzy się z ziemią, przepoi jej oddechem, skąpie w słońcu, rozszerzy, uspokoi, stężeje, a stanie się rzecz niebywała: nowy lud, nowa moralność, prawo, kultura. Nie lękajcie się orać zbyt głęboko, trzeba dojść aż do tej oto głębi; nie lękajcie się sięgać zbyt wysoko: jesteście w samej piersi narodu — z niej wszystko powstało; tu jest miejsce sądzić bogi, idee, wartości; tu jest trwała opoka".

Przy formułowaniu tego rodzaju postulatów trzeba się zawsze liczyć z dwiema postaciami negatywnego w stosunku do nich stanowiska. Jedna z tych postaci — to straszak radykalizmu socjalnego, zarzut ulegania frazeologii „bolszewickiej". Druga — to zarzut truizmu, bo któż by nie chciał rzeczy tak bezspornych?— W gruncie rzeczy i jedna i druga postawa jest niczym innym, jak chęcią zamknięcia oczu na pewną podstawową prawdę, która nie powinna być traktowana ani jako wyraz radykalizmu społecznego, ani jako liczman bez treści, lecz jako realny wyraz dążeń do wszechstronnego rozwoju i pełnego rozkwitu sił narodowych.

*

Użyliśmy wyżej zdania: „Walka o ideały życia jest najlepszym katalizatorem procesów kulturalnych".

Na podstawie wielu doświadczeń przeszłości wiemy, że tak sformułowane zdanie może się stać przedmiotem dyskusji, która będzie chciała wyczytać w nim co innego, niżeli zawiera, przez przeniesienie myśli na płaszczyznę doraźnego układu stosunków politycznych, przeciwstawienie zasady walki zasadom koordynacji sił dla zapewnienia wewnętrznego porządku i zewnętrznej mocy państwa.

Przeciwstawność tego rodzaju jest słuszna tylko pozornie. Polska, przynajmniej w najbliższym okresie, potrzebuje maksymalnych warunków wewnętrznego porządku i siły zewnętrznej. Warunki te zdobyła w wyniku krwawych wypadków maja roku 1926 i szanować je musi.

Jednak koordynacja sił — to nie atrofia myśli, podobnie jak walka o ideały życia — to niekoniecznie rewolucja socjalna czy polityczna. W naszych warunkach musimy dbać zarówno o rozwój siły, jak myśli. Przeprowadzenie granicy, która umiałaby uszanować oba te podstawowe elementy naszej przyszłości, nie jest zadaniem łatwym, lecz nie jest i beznadziejnym.

Walka idei, walka myśli jest naturalnym elementem ewolucji każdego istotnie żywego organizmu społecznego. Można jedynie zastanawiać się nad wyznaczeniem granic, w których z punktu widzenia potrzeb danego środowiska jest ona istotnie pożyteczna, poza którymi staje się szkodliwa. Jednak wyznaczenie granic zbyt ciasnych na dłuższą metę samo przez się jest społecznym niebezpieczeństwem.

Realizacja praktyczna nowych idei i myśli w różnych epokach i różnych społeczeństwach idzie różnymi drogami. W społeczeństwach o wyższej stabilizacji form życia zdobywają one sobie warunki realizacji przez samą osiągniętą dojrzałość. Gdzie równowaga sił i stabilizacja form jest wadliwa — idą drogami rewolucyjnych skoków i przewrotów. Dla Polski — przynajmniej na długi okres czasu — życzyć by sobie należało, by wytworzyły się warunki spokojnej, niemniej jednak planowej i ciągłej ewolucji, umiejącej dostrzegać prawa i zjawiska nie tylko dnia dzisiejszego czy przeszłości, lecz i przyszłości.

W każdym razie największym niebezpieczeństwem jest, gdy jakiś naród wyrzeka się tworzenia nowych i istotnych wartości. Taki naród może w najlepszym razie trwać, rozwijać się nie może.

J. L. M-ski

Książka, która bije młotem

Na marginesie pracy Emila Kurońskiego o ludności polskiej w Niemczech*)

Nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych wyszła w ostatnich tygodniach niewielka rozmiarami broszura, która zasługuje na to, by była elementarzem każdego Polaka, któremu nie jest obcy los polskiej ludności w Niemczech.

Książka pisana jest w sposób niezmiernie obiektywny. Nie ma w niej ani patosu, ani demagogii. Każde twierdzenie poparte jest niezbitym argumentem faktu i cyfry. Niemniej książka ta jest jednym wielkim aktem oskarżenia pod adresem niemieckiej polityki narodowościowej.

Punktem zasadniczym tego oskarżenia jest udokumentowane twierdzenie, że w ciągu niespełna trzydziestu lat dokonano w Niemczech wielkiej, systematycznej i planowej akcji przywłaszczenia — na razie statystycznie — około półtora miliona dusz polskich. Przywłaszczenia tego dokonano za pomocą statystyki, o której Autor mówi słowami, wypowiedzianymi przez jednego ze znanych statystyków niemieckich, dra Wilhelma Winklera, o statystyce czeskiej:

„Z punktu widzenia ustawowo-technicznego jest ona arcydziełem o zdumiewającej bystrości, wspaniale zaostrzonym sztyletem, genialnie mieszaną trucizną, zdolną przyczynić się do zniknięcia bez śladu w jednym dniu setek tysięcy członków jednej narodowości".

Pan Kuroński w pracy swej przeprowadza szczegółową analizę doskonalenia metod przygotowania tej „genialnie mieszanej trucizny", poczynając od roku 1890. Rozpatrując kolejno modyfikacje pytań i objaśnień statystycznych, zmiany definicji języka ojczystego, wprowadzenie i rozwój pojęcia dwujęzyczności, próby zróżniczkowania ludności polskiej przez rozbicie jej na szereg odrębnych rzekomo grup narodowych i językowych (mazurzy, kaszubi, w pewnym okresie nawet ślązacy) — wykazuje w sposób niezbity polityczny cel tych wszystkich zmian, podyktowany jedną myślą i jednym dążeniem: chęcią statystycznego pomniejszenia wagi zagadnienia polskiego w Niemczech.

W dążeniu do tego celu nie cofano się przed żadnymi trudnościami. Przede wszystkim nie cofnięto się przed jaskrawą sprzecznością pomiędzy metodami, zastosowanymi w praktyce niemieckich spisów ludności, a teoretycznymi założeniami ustalanymi przez statystyków niemieckich, którzy w swych wypowiedziach wykazywali całkowity absurd tego rodzaju założeń, na których oparła się niemiecka statystyka ludnościowa w zakresie stosunków narodowościowych i językowych. Praca p. Kurońskiego, operująca niezmiernie bogatym materiałem porównawczym, zaczerpniętym z prac kilkudziesięciu najwybitniejszych statystyków niemieckich, daje niezmiernie charakterystyczne i jaskrawe przykłady daleko idących różnic pomiędzy teoretycznie ustalanymi zasadami i praktyką.

Nie sposób tutaj przytaczać i omawiać głosów, ilustrujących zakres tego rodzaju sprzeczności. W niektórych dziedzinach, jak np. w odniesieniu do pojęcia dwujęzyczności, sprzeczność ta przybiera rozmiary i charakter po prostu fantastyczny. Cała precyzja nauki niemieckiej przejawiła się — dodać należy, że w dużym stopniu pod kątem widzenia potrzeb Niemców zagranicznych — w wykazaniu, że wprowadzanie do statystyki językowo-narodowościowej pojęcia dwujęzyczności jest nonsensem, zamieniającym tę statystykę na statystykę znajomości języków — równocześnie cały wysiłek niemieckich spisów ludnościowych był systematycznie skierowany właśnie na redukcję rubryk polskich na rzecz hermafrodytycznego zjawiska dwujęzyczności. I nie jest to fakt oderwany, ani wypadek. W świetle zawartych w pracy p. Kurońskiego cytat i faktów jaskrawo występuje ta zupełnie specyficzna metoda, która każe nauce niemieckiej tworzyć pewne teorie na użytek Niemców zagranicznych, statystyce własnej zaś przechodzić nad tymi teoriami do porządku dziennego, pod kątem widzenia hasła systematycznej redukcji liczby ludności polskiej w Niemczech.

Sprzeczność ta, przejawiająca się już przed wojną, została doprowadzona do zenitu w spisach ludności powojennych, w roku 1925 i 1933. W rezultacie spisy te dały pod każdym względem obraz katastrofalnego spadku liczby ludności polskiej. Rozwój ludności polskiej w Niemczech w świetle tych spisów posiada charakter ujemny i liczbowo wyraża się dla ziem w granicach Niemiec powojennych jak następuje (Kuroński, l. c. str. 24):

Język ojczysty	lata 1910	1925	1933
polski	1.186.996	507.721	113.010
polski i niem.	133.743	214.115	285.092
mazurski	194.314	31.172	15.689
mazurski i niem.	8.000	49.926	24.103
kaszubski	2.387	—	976
kaszubski i niem.	116	—	1.298
Razem	1.525.556	802.934	440.168

Do wymownego obrazu tych liczb dodaje Kuroński następujący komentarz:

„Widzimy, iż pełna liczba Polaków spadła w ciągu lat 15, to znaczy od roku 1910 do 1926, o 722.622 osób, to jest o 47,4% stanu z roku 1910. W ciągu zaś 8 lat od r. 1925 do 1933 liczba ta spadła znowu o 362.766 osób, to jest o 44% stanu z roku 1925. Jeśli wreszcie porównamy stan z roku 1933 i 1910, to różnica wyniesie 1.085.388 osób, to jest 71,2% spadku w ciągu 23 lat".

Zjawisko to nie znajduje żadnego wytłumaczenia i uzasadnienia w istniejących realnie warunkach. Tym też różni się ono od podobnego zjawiska, zachodzącego po stronie polskiej w odniesieniu do liczby ludności niemieckiej na terenie naszych województw zachodnich, gdzie stan ujawniony przez spisy ludności jest tylko obrazem i potwierdzeniem bardzo dokładnie zbadanych procesów migracyjnych, repolonizacyjnych oraz małej liczby urodzeń u ludności niemieckiej. Ubytek ludności niemieckiej po naszej stronie granicy jest więc ubytkiem realnym, którego przebieg i geneza daje się ustalić w sposób najbardziej dokładny. Po drugiej stronie granicy nie występuje ż a d n e z omówionych zjawisk. Ludność polska z Niemiec nie ulegała prądom masowej emigracji. Wśród tej ludności nie było nigdy spolonizowanych elementów germańskich, które by chciały i mogły powracać do swej istotnej narodowości. Wreszcie, zarówno stosunek urodzin, jak przyrostu naturalnego, jest dla ludności polskiej w Niemczech niezmiernie korzystny, o wiele lepszy, niżeli wśród ogółu ludności. W rezultacie ubytek przeszło miliona ludności, przy równoczesnym ubytku również i całego przyrostu naturalnego za lata 1910—1933, jest zjawiskiem absolutnie niewytłumaczalnym, przed którym bezradnie stoi statystyka niemiecka, próżno pragnąca — według cytowanego w książce Kurońskiego określenia jednego ze statystyków niemieckich — „prawdopodobieństwo tej niespodzianki zmajstrować".

Wnioski p. Kurońskiego odnośnie tej statystyki są zdecydowane. Opierając się na uprzednio przeprowadzonej analizie politycznego charakteru spisów niemieckich, równocześnie analizując wszelkie zjawiska, zachodzące na terenie wśród ludności pol-

*) Emil Kuroński: „Polacy w Niemczech w urzędowych spisach ludności". Nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Warszawa. 1939. Str 48.

skiej — odrzuca on te wyniki w sposób najbardziej kategoryczny. Więcej, przeprowadzając szczegółową analizę zmian zaszłych w stanie liczebnym ludności polskiej po roku 1910 (straty wojenne, emigracja, przyrost naturalny), który z pewnymi zastrzeżeniami przyjmuje za punkt wyjścia swych obliczeń — ustala p. Kuroński przybliżony stan liczebny ludności polskiej na poszczególne daty spisowe. Liczba polskiej ludności w Niemczech, ściślej liczba tej ludności, która w roku 1910 umiała się oprzeć naciskowi władz i polskość swą zaznaczyć, pomniejszona o liczbę normalnej śmiertelności, strat wojennych, procesów emigracyjnych, powiększona zaś o liczbę pozostałego przy życiu potomstwa, powinna, według szczegółowych obliczeń Kurońskiego, wynosić dla roku 1925 — 1.511.170 głów, dla roku 1933 — 1.687.229, wreszcie dla roku 1938 — 1.813.771 głów. W ten sposób nieuzasadniony żadnymi względami rzeczowymi ubytek Polaków, znajdujący częściowe tylko wytłumaczenie w zjawisku mniej czy więcej przymusowej germanizacji, przede wszystkim zaś w doborze metod i środków statystycznych wynosił:

dla roku 1925 — 708.236 głów
„ „ 1933 — 1.247.061 „

Wniosek z tych liczb, sformułowany przez p. Kurońskiego, brzmi jak następuje:

„Polaków w Niemczech powinno być 188.2% stanu podawanego przez Niemcy w 1925 roku, 360% stanu podawanego przez urzędowe statystyki niemieckie w 1933 r.

I jeszcze dalszy:

„Stwierdzamy: w urzędowych statystykach niemieckich zapodziało się gdzieś 1.250.000 Polaków. Miażdżąca wymowa tych liczb jest ponad dyskusją. Tu nie chodzi o drobiazgowe spory na temat 1.000, czy nawet 100.000 osób. Istotą powyższego obliczenia jest fakt, że ilustruje ono ponad wszelką wątpliwość to, co jest kanonem w sposobie myślenia ludności polskiej w Niemczech o swej sile liczebnej i co znajduje wyraz w niezależnym od doraźnych efektów statystycznych twierdzeniu, które ze strony tej ludności stawiane jest w sposób dogmatyczny w formule:

POLAKÓW W NIEMCZECH JEST OKOŁO PÓŁTORA MILIONA

W liczbie tej kończą się wszelkie ewentualne pomyłki w rachunkach, wszystkie możliwości, których rachunkowo uchwycić niepodobna. W rezultacie różnica między rzeczywistością i ostatnią statystyką z 1933 r. wynosi dziś powyżej miliona Polaków, których cyfrowo zlikwidowała przedstawionymi wyżej metodami urzędowa statystyka niemiecka".

*

Jednym z najbardziej zasadniczych fragmentów pracy p. Kurońskiego jest rozdział, poświęcony sprawie przygotowanego na dzień 17 maja roku 1939 nowego spisu ludności.

Spis ten, w zestawieniu z poprzednimi, będzie miał jedną zasadniczą inowację. Mianowicie w zakresie statystyki narodowościowej ulega modyfikacji formuła zapytania, przy czym nacisk zostaje położony nie na język, lecz na tak zw. „swobodne" oświadczenie narodowości.

Swoboda tego rodzaju oświadczenia w dzisiejszych warunkach niemieckich jest fikcją zupełną. Przede wszystkim zaś sam fakt zastąpienia właśnie w obecnym okresie obiektywnego znamienia języka przez znamię subiektywne „oświadczenia narodowości" jest znowu w najwyższym stopniu sprzeczny zarówno z podstawową tezą nauki niemieckiej w tym zakresie, jak również z wszystkimi oświadczeniami i zasadami teoretyków narodowego-socjalizmu, poczynając od zupełnie zdecydowanych i wyraźnych wypowiedzi kanclerza Hitlera.

I znowu — według ściśle przyjętej metody — p. Kuroński nie jest gołosłowny. Przytaczając kilkadziesiąt wypowiedzi teoretyków zasady narodowości w Niemczech, od Humboldta, Herdera i Fichtego aż po kanclerza Hitlera i Helmutha Nicolai'ego włącznie, wskazuje na przykładach, jak wielką ofiarę z doktryny zarówno niemieckiej nauki o narodowości, jak szczególnie z zasadniczych przesłanek doktryny narodowego-socjalizmu, musiano uczynić, by właśnie w obecnym momencie wyrzec się przy przeprowadzaniu spisu ludności zasady, że związek jednostki z narodem „nie jest aktem woli", ale „przeznaczeniem i dziedzictwem", wybrać natomiast inną zasadę, znajdującą oparcie w liberalnych doktrynach francuskich, że jednostka dowolnie wybiera sobie narodowość, niezależnie od naturalnych związków jej krwi, mowy i pochodzenia.

Ofiara ta — zdaniem p. Kurońskiego — nie była napewno bezinteresowna. Ceną jej ma być wytworzenie warunków łatwiejszego nacisku na ludność polską, celem zachęcenia jej do podawania narodowości niemieckiej. Wymownie o tym mówią przygotowane i zaopatrzone w odpowiednie przykłady formularze spisowe. Książka p. Kurońskiego zawiera podobiznę fotograficzną jednego z takich formularzy. Otóż jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że na formularzu tym są, tytułem przykładu, wymienione trzy osoby niewątpliwie polskiego pochodzenia i używające w domu języka polskiego. Są to: parobek Stanisław Lupiński, mówiący tylko po polsku, mężatka Maria Szmitz z domu Zawadka, dwujęzyczna, wreszcie służąca Anna Kwoczek, mówiąca znowu tylko po polsku. Z tych trzech osób tylko Lupiński zaliczony jest do narodowości polskiej, lecz tajemnica tego zaliczenia jest prosta: Lupiński jest obywatelem polskim. Zarówno zaś Kwoczek, jak Schmitz z domu Zawadka, zaliczone są do narodowości niemieckiej. Wymowa tego rodzaju przykładów jest jasna. Zamyka się ona — zdaniem Autora omawianej książki — w formule: *„Osoby używające stale i wyłącznie języka polskiego mają prawo być zaliczone do narodowości polskiej tylko wtedy, jeśli równocześnie są obywatelami polskimi. Polacy, obywatele niemieccy, powinni być zaliczeni do narodowości niemieckiej nawet wówczas, jeżeli mówią wyłącznie po polsku"*.

Jakież będą praktyczne skutki tego rodzaju wyboru kryteriów i nastawień spisowych? — Pan Kuroński, zwracając uwagę na fakt, że statystyka niemiecka połączeniu dwóch elementów: a więc zasady oświadczenia narodowości przy równoczesnym nacisku administracyjnym — przypisywała w stosunku do dawnej Czechosłowacji tego rodzaju skutki, jak to że w okręgu sądowym Hulczyńskim zaledwie 10% tamtejszych Niemców odważyło się w roku 1930 przyznać do swej narodowości, podkreślając również fakt praktycznego zniesienia w stosunku do spisu roku 1939 zasady tajności danych spisowych — konkluduje w sposób następujący:

„Jakież mogą być skutki? Dadzą się one streścić w zdaniu, że jeśli — według określenia z roku 1897 — na Wileńszczyźnie ówczesnej trzeba było być trzy razy Polakiem, by być za takiego uznanym przez statystykę rosyjską, to w Niemczech dzisiejszych dla zachowania swej polskości trzeba będzie być równocześnie bohaterem, świętym i męczennikiem polskości. Lecz żaden naród nie składa się wyłącznie, ani nawet w przeważającej liczbie, ze świętych i bohaterów. Stąd też liczyć się trzeba z faktem, że osiągnięta w ten sposób statystyka będzie istotnie realizacją wieloletnich dążeń statystyki niemieckiej, pomniejszając liczbę ludności polskiej w Niemczech do norm zupełnie absurdalnych".

To będą rezultaty statystyczne, a polityczne? — Na możliwość tego rodzaju rezultatów zwróciła uwagę w dniu 6 marca r. 1938 Rada Naczelna Związku Polaków w Niemczech, stwierdzając, że w przeprowadzeniu spisu na zasadzie oświadczenia narodowości, przy równoczesnym uchyleniu tajności urzędowych danych spisu, widzi groźbę wprowadzenia przymusowego katastru narodowościowego. Istotą tego rodzaju posunięcia byłoby to, że opierając się na danych spisu, przeprowadzonego w sposób absolutnie nie pozostawiający polskiej ludności warunków istotnego ujawnienia swej siły narodowej, dałoby w rezultacie pewne prawa tej ludności, lecz przy faktycznym ich ograniczeniu do zupełnie znikomej, zaledwie drobną cząstkę sił polskich w Niemczech stanowiącej, garstki tych, którzy przy spisie potrafiliby być równocześnie „bohaterami", „świętymi", i ewentualnie „męczennikami" polskości. W praktyce byłoby to ubranym w pozory tolerancji zamachem na najgłębszą istotę praw narodowych ogromnej większości polskiego narodowego społeczeństwa w Niemczech.

I słusznie pracę swą kończy p. Kuroński zapytaniem:

„Czy jednak tego rodzaju metody dadzą się pogodzić z duchem deklaracji rządów, polskiego i niemieckiego, z dnia 5 listopada 1937 r., mówiących o „wzajemnym szacunku dla narodowości polskiej i niemieckiej".

Jak również słusznie na pytanie to daje odpowiedź negatywną, wzmocnioną przez stwierdzenie, że „sprawa, która tak głęboko dotyka podstawowych interesów ludności polskiej w Niemczech, dotyczy również całego Narodu Polskiego i dla nikogo w Polsce nie może być obojętna".

Adam Andrzejewski

Impulsy regionalne

Jeśliby pojęciem regionalizmu gospodarczego określić odrębności dążeń gospodarczych poszczególnych regionów Polski, dążeń opartych na właściwościach struktury ekonomicznej, demograficznej i społecznej tych obszarów, oraz innych specyficznych warunków miejscowych, to bez długich sporów można by stwierdzić, że niewiele jest chyba państw na świecie, które by na tak stosunkowo niewielkiej i zwartej przestrzeni reprezentowały podobną wielość problemów ekonomicznych.

Nie warto się zastanawiać nad przyczynami, które wpłynęły na podobny stan rzeczy. Są one powszechnie znane — nierównomierny rozwój poszczególnych gałęzi życia gospodarczego w czasach przedrozbiorowych, potem rozdarcie w okresie niewoli, przynależność do organizmów gospodarczych, znajdujących się na różnych stopniach rozwoju, celowa polityka zaborców i szereg innych okoliczności, których rejestr moglibyśmy doprowadzić do czasów ostatnich. Interesujące jest natomiast zjawisko, którego świadkami jesteśmy w latach ostatnich. Dopóki brakowało śmielszych koncepcji rozwiązania trudności, w jakich tkwiło nasze życie gospodarcze, a tętno jego było słabe, „regionalizmy" drzemały — z chwilą gdy machina koniunktury gospodarczej poczęła się rozkręcać, nabrały rumieńców życia i zaczęły przypominać o swym istnieniu.

W Poznaniu powstaje na początku 1937 r. Wielkopolska Rada Gospodarcza, która jako cel swych prac stawia między innymi zdefiniowanie potrzeb gospodarczych Wielkopolski. Zaspokojenie ich wyrównałoby, zdaniem Rady, spustoszenia kryzysowe w dziedzinie urządzeń kapitałowych i pozwoliło na pełne wykorzystanie istniejącego w woj. poznańskim aparatu wytwórczego. W lutym 1938 r. inauguruje we Lwowie swą działalność podobna instytucja — Małopolska Rada Gospodarcza, obejmująca swym zasięgiem terytoria województw południowo-wschodnich. Działalność jej zmierza do ożywienia i podniesienia życia gospodarczego tej części kraju. Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich wzmacnia w tym czasie napięcie swych prac propagandowych na rzecz aktywizacji kresów.

Kilka kolejnych konferencji odbytych w Wilnie z udziałem zarówno miejscowych czynników gospodarczych jak i przedstawicieli rządu, w czasie których przedyskutowano postulaty gospodarcze tych ziem, oto zewnętrzny nurt prac północno-wschodniej połaci kraju.

Wymieniłem jedynie Wilno, Poznań, Lwów, jako ośrodki, w których regionalne inicjatywy gospodarcze rozwijały się najżywiej i znalazły najkonkretniejszy wyraz bądź to w postaci specjalnych instytucyj, bądź też opracowań i memoriałów, zawierających konstrukcje programowe dla ziem przez nie reprezentowanych. Ale obok tego rozwijał się szereg prób „uaktywnienia" zagadnień gospodarczych innych terenów i pozyskania dla nich szerokich kół opinii publicznej, prób równie ważkich, choć o mniejszym zasięgu terytorialnym.

I jedne i drugie były jak gdyby odpowiedzią na wysunięte przez Wicepremiera Kwiatkowskiego hasło przebudowy struktury gospodarczej kraju i zatarcie wewnętrznych granic zaborczych. Ożywienie problemów dzielnicowych w momencie, kiedy propaguje się prace unifikacyjne, może się pozornie wydać nienormalne. W rzeczywistości jednak podobna reakcja jest całkowicie naturalna. Z jednej strony działało pragnienie uplasowania spraw swego regionu na możliwie najwyższym szczeblu w hierarchii państwowej, z drugiej zasadnicze i śmiałe posunięcia w skali państwowej zachęcały do wysuwania takich samych rozwiązań na obszarze bardziej ograniczonym, wiążąc je motywacją ogólnopaństwową. Charakterystyczne są pod tym względem słowa b. premiera, pułk. Prystora, wypowiedziane na konferencji gospodarczej w Wilnie — 11.XII.1937 r.:

> „Ziemie nasze w swoim obecnym stanie nie są samowystarczalne i są ogromnym ciężarem, który spada na ludzi innych dzielnic Państwa. Jeszcze większe szkody przynosi bierność tych ziem zarówno w dziedzinie wytwórczości, jak i zwłaszcza spożycia. Celem polityki gospodarczej Państwa musi być dążenie do pełniejszego wprowadzenia ziem naszych w orbitę wymiany.
>
> Inwestowanie tych ziem przyczyniłoby się w znacznym stopniu do rozwiązania męczącego zagadnienia bezrobocia na terenie całego Państwa przez zatrzymanie na miejscu nadwyżki ludności rolniczej oraz poprzez zwiększoną miejscową konsumcję, wzmacniającą procesy wytwórcze w ośrodkach przemysłowych o dużym nasileniu ludzi bez pracy".

To właśnie wprowadzenie do życia gospodarczego elementów pewnego rozmachu, urealnienie możliwości planowania i wykonywania inwestycji rozbudziło w niemrawej na ogół i zacofanej psychice gospodarczej społeczeństwa pragnienia „zdobywcze" — nie spierajmy się o bezwzględną wartość tego słowa! — pragnienie zmiany otaczającej rzeczywistości tam przede wszystkim, gdzie była ona nędzna i mizerna lub gdzie jej linia rozwojowa nie pięła się ku górze.

Nie wydaje się naprzykład, aby problem pogranicza województwa białostockiego i warszawskiego mógł przed paru laty znaleźć takie rozwiązanie, jakie znalazł na konferencji zwołanej w czerwcu u. r. przez Polski Związek Zachodni. Stwierdzając nieprawdopodobne zaniedbanie gospodarcze powiatów graniczących z Prusami Wschodnimi i płynące z tego niebezpieczne konsekwencje społeczne i polityczne, przygotowano materiały i wytyczne programowe pracy, planując regulacje rzek, zmeliorowanie bagien, budowę szeregu połączeń kolejowych. Licznie przybyli na tę konferencję działacze terenowi omówili dalej problemy podniesienia kultury rolnej, zorganizowania przetwórstwa rolniczego, aparatów wymiany i kredytu itd. itd.

Całokształtowość w traktowaniu spraw gospodarczych poszczególnych regionów, planowe podejście do nich, począwszy od zagadnień inwestycji podstawowych, jest osiągnięciem lat ostatnich, wzorowanym na generalnych założeniach polityki ekonomicznej państwa. Nastawienie takie rozwijać się może jedynie w atmosferze niedosytu gospodarczego, uczucia bynajmniej niewoznacznego z głodem, zawierającego bowiem prócz stwierdzenia braku czegoś jeszcze pragnienie zaspokojenia tego braku. I znów wypada podkreślić psychologiczny wpływ polityki inwestycyjnej rządu zarówno na uświadomienie istniejących braków i ich rejestrowanie, jak też i przejście z postawy defensywnej na ofensywną na poszczególnych odcinkach dzielnicowych.

Wszystkie omówione wyżej impulsy regionalne wypływały ze świadomej lub podświadomej akceptacji nastawienia centralnego. Nie można jednak zapominać, że impuls najbardziej chyba zaradczy opierał się na uczuciu negatywnym, na lęku przed doraźnymi skutkami projektowanych przemian w polityce inwestycyjnej. Zapowiedziana w początku 1937 r. przez Wicepremiera Kwiatkowskiego realizacja programu inwestycyj, skoncentrowanych na obszarze, otaczającym wielokilometrową płaszczyzną Sandomierz, wywołała obawę, że pozostałe dzielnice kraju zostaną pozostawione swemu losowi. Stąd zrozumiała troska przedstawicieli życia gospodarczego i społecznego prowincji, aby dotrzeć ze swymi projektami nie tylko do serca i umysłu czynników decydujących, lecz i do ich kieszeni...

Stwierdził to dowcipnie na wspomnianej już konferencji wileńskiej, prezes tamtejszej Izby Rolniczej pos. Kamiński, kierując pod adresem Rządu wezwanie, aby obok serca przyszły i świadczenia naturalne, „bo Wileńszczyzna nie może być podnoszona tylko przy pomocy podrywów serca. Za serce dziękujemy, ale prosimy pamiętać o nas zawsze, kiedy będzie chodziło o związanie czynnikiem materialnym".

Jeśli koncentracja wysiłków inwestycyjnych Rządu na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego wywołała zaniepokojenie na Ziemiach Wschodnich, które korzystały w owym czasie ze specjalnej opieki,

wyrażonej choćby w ogłoszonym na schyłku 1936 r. dekrecie o popieraniu ruchu inwestycyjnego na obszarze województw wschodnich, czy też stosowanych preferencjach podatkowych, to jakież wrażenie musiała uczynić w Wielkopolsce.

Rada Gospodarcza w wystosowanym do władz memoriale podkreśliła wyraźnie, że pomimo generalnej linii polityki inwestycyjnej Państwa, skierowanej przede wszystkim w kierunku C.O.P., Wielkopolska nie powinna być pominięta przy układaniu preliminarza wydatków inwestycyjnych. W poświęconym Wielkopolsce numerze „Polityki Gospodarczej" szereg znanych poznańskich działaczy gospodarczych dał pesymistyczne oceny sytuacji gospodarczej ich dzielnicy. Ton ich i treść najlepiej bodaj oddają słowa pos. Brunona Sikorskiego, obecnego referenta budżetu Ministerstwa Skarbu, który w ten sposób zakończył swój artykuł:

„Wkład Wielkopolski do bilansu gospodarstwa polskiego był relatywnie bardzo wysoki. Nasza polityka gospodarcza, nastawiona na inne, niewątpliwie doniosłe zagadnienie, niezbyt dbała o podtrzymanie wysokiego poziomu gospodarczego Wielkopolski. Wysoki jej wkład ulega więc deprecjacji, słabnie tętno gospodarcze. Wysoki potencjał produkcyjny nie tylko nie jest należycie wykorzystany lesz niszczeje... itd. itd."

Wynotowałem jedynie nastroje poznańskie i wileńskie jako najbardziej charakterystyczne, gdyż pochodzące ze środowisk o zupełnie odmiennej strukturze gospodarczej. Nie stanowiły one wyjątku, nie uderzając jednak — rzecz charakterystyczna — nigdy w C.O.P. jako taki. To powszechne pozytywne ustosunkowanie się do Okręgu Centralnego skwitowane zostało w jednym z przemówień Wicepremiera Kwiatkowskiego, który stwierdził w imieniu rządu, że choć „podjęliśmy w ostatnich czasach prace, mające na celu zmontowanie siły i dynamiki gospodarczej w Polsce środkowej, ale nie zapominamy, że Polska jest wielka, że nie kończy się ani w Warszawie, ani w okręgu centralnym, ale sięga od Katowic, od Gdyni, po Kresy Wschodnie, po Lwów..."

Słowa te umiejscawiają zarazem problem naszego regionalizmu gospodarczego na właściwej płaszczyźnie finansowej — ograniczonych możliwości realizacyjnych, a nie na płaszczyźnie jakichś zasadniczych sprzeczności programowych. Ta ostatnia ma w tej chwili pewne punkty uzasadnienia jedynie, jeśli idzie o Wielkopolskę...

*

Czy jest sens przeprowadzać analizę czynników, które wpływają na takie, a nie inne kształtowanie się regionalnych problemów gospodarczych w Polsce? Wydaje się, że tak. Nawet ten jeden, nie jedyny oczywiście, przekrój, który starał się ciąć poprzez zwał zagadnień, jakie można by objąć jednym mianem „kompleksu C. O. P." *), tłumaczy wiele braków i niedociągnięć, jakie reprezentuje dzisiejsza regionalna myśl gospodarcza, nastawiona przede wszystkim na doraźne korzyści w postaci umotywowania i uzyskania maksimum kredytów dla swego zaplecza. Przeprowadzenie ich większej ilości, zbadanie wszystkich zazębień i powikłań stanowiłoby krok naprzód ku wypracowaniu programu gospodarczego Polski, wyznaczającego nie tylko konkretne prace do wykonania, ale określającego zarazem sens gospodarczy poszczególnych regionów w ramach gospodarstwa narodowego.

*) C.O.P. traktowałem jedynie jako fakt gospodarczy. To uproszczenie jest o tyle nieszkodliwe, że starałem się unikać momentów, w których operowano inną argumentacją.

Haeres

O stosunkach polsko-słowackich

Oceniając na łamach „Polityki" (nr. 1, 1939) *„Bilans 1938 r. w polityce zagranicznej"*, zespół redakcyjny tegoż czasopisma doszedł do wniosku, że:

„bardzo poważnym niepowodzeniem naszej polityki zagranicznej i to niepowodzeniem przez nas zawinionym był obrót jaki wzięły stosunki polsko-słowackie. Nie należy do przyjemności wytykać to niepowodzenie kierownictwu naszej polityki zagranicznej, do którego mamy zaufanie i które napewno poprowadzi nas jeszcze do nowych sukcesów. Czytelicy straciliby jednak do nas szacunek gdybyśmy bez ogródek nie wypowiadali naszej opinii. Słowaczyzna była jednym z tych nielicznych krajów w Europie, w których polskie wpływy kulturalne szły w parze z wpływami politycznymi. Upadek rządów czeskich winien był wpływy polskie na tym terenie jeszcze znacznie zwiększyć. Tymczasem z jednej strony nasze niejasne stanowisko wobec sporu słowacko-węgierskiego, z drugiej nasze rewindykacje terytorialne, pozbawione dla Polski wszelkiego znaczenia, spowodowały zupełny przewrót w nastrojach społeczeństwa słowackiego w stosunku do Polski. Żądanie Spisza i Orawy to był kardynalny błąd polityczny. Powiększając Rzeczpospolitą o jakieś skrawki bez żadnego znaczenia, zaprzepaściliśmy najzupełniej nasze możliwości w tej stronie Europy Środkowej. Jakżeż inaczej postąpił sobie Piłsudski z Łotwą! Przypomnijmy Palmerstona, który, aby zachować i wzmocnić wpływ Wielkiej Brytanii w Grecji — dobrowolnie odstąpił temu państwu w 1864 r. 7 wysp Jońskich — perły morza Śródziemnego. W tym wypadku nie było mowy o odstępowaniu czegokolwiek. Wystarczyło wyrzec się żądania kilku skrawków gór. Czynnik psychologiczny przecież odgrywa pewną rolę w historii.

Żądając Spisza i Orawy postąpiliśmy w myśl najczystszej doktryny endeckiej, sformułowanej jeszcze przed wojną przez Popławskiego".

Sprawa bynajmniej nie jest taka prosta. Dziś kiedy wypadki, które doprowadziły do wzajemnego rozdrażnienia, zaczynają powoli zacierać się w pamięci obu narodów, warto jest powrócić do omówienia nieco szerzej podłoża tej naszej „porażki" dyplomatycznej, która skąd inąd nie jest znowu ani tak groźna, ani w skutkach nieodwołalna.

I) Bezpośrednią przyczyną rozdrażnienia Słowaków w stosunku do Polski była sprawa spisko-orawsko-czadecka. Ze strony polskiej wysuwało się wprawdzie argument, że przecież Polska wyraźnie zaznaczyła, że jej pretensje terytorialnie od strony Słowacji nie mają nic wspólnego ze sprawą cieszyńską, że ziemia cieszyńska była gwałtem przez Czechów zabrana w r. 1919 a tutaj chodzi tylko o małe wyrównanie dziejowej niesprawiedliwości, że właśnie ze względu na chęć utrzymywania dobrych stosunków ze Słowakami pretensje polskie są tak małe. Argumenty te trafiły jednak jak w próżnię. Dlaczegoż więc Słowacy tak się irytowali o kilka wsi — w dodatku wsi polskich — dlaczego nie chcieli wyrównać w myśl zasady etnograficznej swych granic od strony Polski tak, jak to uczynili od strony Węgier?

Sprawa spisko-orawsko-czadecka ma ze strony polskiej inny niż ze słowackiej aspekt. Przede wszystkim Słowacy, w braku własnej tradycji politycznej, własnej państwowości, mają cały szereg sztucznie urobionych fikcji, którymi żyją. Taką fikcją jest np. mit o jednolitości terytorium słowackiego, tj. dawnych węgierskich „górnych ziem" (felvidek). Z tej „całości" nie wolno nic ruszyć. O ile więc musiano poczynić znaczne ustępstwa na południu na rzecz Węgier, o tyle wedle nich granica północna była niezmienna, niedotykalna etc. Każda więc w niej wyrwa jest „krwawiącą raną", każda zmiana tworzy „płonącą granicę".

II) Choć rewindykacje polskie objęły tylko kilka wsi w Czadeckim, dwie na Orawie i dwie na Spiszu, to zmiana ta innym

musiała się odbić echem w Polsce, innym w Słowacji. Stosunek liczbowy tych wsi inny jest odnośnie do ludności 2 milionowej Słowacji a inny do — jak się w Słowacji mówi — „40 milionowej" Polski, co też odegrało swoją rolę, tym bardziej, że — pomijając stosunek ilościowy — nawet tak drobne środowiska wiejskie odgrywają w Słowacji stosunkowo dużo większą rolę, co się łatwo tłumaczy strukturą socjalną kraju. W każdym razie argument był: „poco Polsce 40 milionowej te kilka wsi — dla nas każda dusza coś znaczy — wy macie ich tyle..."

III) Dużo nieporozumień wywołał charakter agitacji wewnętrznej i sposób formułowania naszych pretensyj w prasie polskiej. Nasza prasa mówiła o powrocie do Polski „Spisza i Orawy". Nie zawsze umiano dobrze sformułować o jakie części Spisza czy Orawy chodzi. A znów nie zapominajmy, że poza etnograficznie polską częścią Spisza czy Orawy są dużo obszerniejsze części tych ziem czysto słowackie. Poza słowackim charakterem tych ziem (Dolnej Orawy, Środkowego Spisza) jest jeszcze sprawa ich roli w życiu słowackim. Wszak Orawa jest to kraina wielka, przy tym jedna z kilku czysto słowackich dawnych „żup", kraina, która wydała tylu słowackich działaczy, ile może żadna inna żupa; wszak ze Słowacji pochodził twórca słowackiego języka literackiego Bernolak, i założyciel Spolku Sv. Vojtecha Radlinsky, i największy pisarz słowacki Hwiezdosław, i autor jednego hymnu słowackiego Matuszka, i autor drugiego hymnu Tomasik, i wielki powieściopisarz Kukuczin („słowacki Gogol"), wielki działacz słowacki w Ameryce Furdek, gramatyk Hattala i wielu, wielu innych. Jak że tu oddać taką ziemię? Ze strony polskiej odpowiedzią na to jest, że przecież chodziło tylko o skrawek, który dla życia słowackiego żadnej roli nie odegrał. No, dobrze, ale tego prasa nasza, którą „życzliwe" ręce Słowakom wciąż kładły przed oczy, tak wyraźnie nie mówiła, pisała o Zamkach Orawskich, Lewoczy etc.

IV) Zadrażniająco też działało narastanie pretensyj polskich. Gdy pojawiły się pierwsze jaskółki zmian na granicy polsko-słowackiej mowa była tylko o nic na pozór nie znaczących „korekturach". Potem zaczęto mówić o Jaworzynie, na co Słowacy, jak się zdaje, jeszcze się w zupełności godzili. Dopiero wzrost rewindykacji wywoływał systematyczny wzrost zaniepokojenia. Zaczęły się — znów przy pomocy pewnych niechętnych nam kół — szerzyć hiobowe wieści o dalszych przygotowywanych objawach polskiej „żarłoczności", o pretensjach polskich do co najmniej połowy ziem słowackich.

V) Czytelnik polski odpowie na to: dobrze, ale po co tyle szumu, kiedy i tak chodziło przecież tylko o osady czysto polskie, przecież drugie tyle czysto polskich, a dużo więcej polskich zesłowaczonych zostawiono po tamtej stronie granicy? Znów wystąpi różnica psychologiczna między naszym a słowackim stanowiskiem. Wymienione obszary Spisza, Orawy czy Czadeckiego są bezsprzecznie językowo, etnograficznie polskie. Nie kto inny, ale właśnie Słowacy w czasach przedwojennych, kiedy u nas nie śniło się jeszcze o tym, że istnieją Polacy na górnych Węgrzech, zwrócili pierwsi na tę ludność uwagę. Wystarczy przeczytać, co o charakterze polskim tej ludności pisał zupełnie wyraźnie znany przed wojną i do dziś dnia ceniony lingwista słowacki Samo Czambel. I nie gdzie indziej, ale w jedynym wówczas słowackim dzienniku, w „Narodnich Novinach", ukazał się już po przewrocie, w listopadzie 1918 r., artykuł uznający te obszary za polskie. To wszystko zgoda. Ale dla dzisiejszej opinii słowackiej argumenty lingwistyczne nic nie mówią. Znów występuje różnica, którą zrozumiemy, jeśli uświadomimy sobie, że język słowacki składa się z tylu gwar tak różnych, że dla przeciętnego Słowaka nasz język góralski z polskich wiosek na Spiszu czy Orawie jest już również jedną z takich gwar, a trudno od działaczy politycznych wymagać wykształcenia filologicznego. Dla nich istotnym jest, że ludność ta wchodzi w skład Słowacji, że modli się z książek słowackich. Znów więc występuje kolizja dwuch pojęć, dwóch stanowisk. Dla Słowaków wsie te były słowackie, dla nas są polskie. Słowacy uważają za krzywdę wydarcie przez nas tych wsi, my im odpowiadamy, że za krzywdę uważalibyśmy, gdyby one zostały przy Słowacji, że nie moglibyśmy opierać stosunków braterskich ze Słowakami na krzywdzie naszej ludności.

VI) Jest rzeczą niewątpliwą, że oprócz tej sprawy spisko-orawsko-czadeckiej, która raczej była pewnym momentem agitacyjnym, były i inne przyczyny tego zadrażnienia. Mimo bowiem wszystkich argumentów, wykazujących nasze błędy, czy też obopólne nieporozumienia, wszystko to jeszcze nie wytłumaczy całkowicie tego szału, który ogarnął Słowację. Przecież i inni dokonywali korektur granicznych, przecież, oprócz Węgrów, którzy wzięli szmat ziem istotnie słowackich, brali i Niemcy, którym się dostał słowacki zamek Devin, najświętsze źródło tradycji słowackich, miejsce ich pierwszych pielgrzymek narodowych w XIX w. Słowacy na to odpowiadają, że to co mógł zrobić Germanin, czy wróg odwieczny, tego nie spodziewali się po braciach Polakach, że to był tym dla nich gorszy zawód...

VII) Ale jest rzeczą oczywistą, że tu i inne motywy grały rolę. Słowacy niechętnie patrzyli na zabiegi o polsko-węgierską granicę; w ich koncepcji tylko oni sobie zastrzegali rolę pomostu, idąc w tym śladami wszystkich polityków słowackich od Sztura do Hodży, którzy z centralnego położenia ziem słowackich wysuwali daleko — może za daleko — idące wnioski o roli politycznej Słowacji. Drażniło Słowaków wyraźne madziarofilstwo opinii polskiej, które szło tak daleko, że pomijało karygodne zachowanie się Węgrów względem kolonistów słowackich na odzyskanych ziemiach (wypadki grudniowe w Szuranach!). A

WYNIKI PRACY
PKO
w r. 1938

ILOŚĆ STAŁYCH KLIENTÓW 3.633.374

SUMA WKŁADÓW zł 1.094.000.000

LOKATY zł 1.017.600.000

OBROTY zł 40.000.000.000

PKO – Pewność - Zaufanie

wreszcie za tym wszystkim stała niewątpliwie ręka, której wyraźnie zależało—w myśl znanej starorzymskiej zasady, której tu nawet wymieniać nie potrzeba — aby w stosunki słowacko-polskie wprowadzić ferment, aby ogrom kapitału sympatii, jaki Polska posiadała wśród Słowaków, zburzyć, aby Bratysława spozierała nie ku Warszawie, ale gdzie indziej.

Dziś wzajemne zadrażnienia powoli usuwają się w przeszłość. Słowacy napewno zrozumieją dość szybko, że nie stała im się żadna krzywda, że współpraca z Polską jest ich koniecznością nie sentymentalną i okazyjną, ale stałą, życiową.

Wł. Osten

Wczasy robotnicze na forum międzynarodowym

Wczasy pracownicze — określenie od paru lat zaledwie znane, używane w Polsce przez kilkanaście osób, nie posiadające prawie żadnej dokumentacji ani literatury, tak obce naukom społecznym, że trudne do znalezienia w najbardziej wyczerpujących podręcznikach polityki społecznej, dzisiaj stało się jednym z tematów niezwykle często spotykanych na łamach czasopism fachowych i prasy codziennej, przedmiotem ożywionych dyskusyj i konferencyj, prac naukowych i publikacyj. Cóż to określenie oznacza? Pytanie kłopotliwe! Trudno na nie odpowiedzieć jedną nieskomplikowaną definicją lub niezbyt obszernym opisem. Oznacza ono pojęcie o tak obszernym zasięgu, obejmujące tyle naraz przedmiotów i spraw, że każdy działacz lub badacz społeczny może wykroić w nim odcinek dla siebie.

W każdym razie, gdy mowa o wczasach pracowniczych, ma się na myśli czas pracownika wolny od pracy (oczywiście pracownika, który pracuje). Jedni ograniczają pojęcie wczasów do urlopu wypoczynkowego, inni obejmują nim także dni świąteczne a nawet godziny „fajrantowe", inni jeszcze sądzą, że można tutaj zaliczyć przerwy obiadowe lub wypoczynkowe podczas pracy. Zależnie od punktu widzenia bierze się pod uwagę mniejszy lub większy „budżet czasu", który obejmuje się mianem wczasów, i stawia się kwestię użytkowania, „właściwego" użytkowania lub kształtowania wczasów pracowniczych.

W ten sposób zagadnienie wczasów nie wyczerpuje się tylko w zagadnieniu wypoczynku lub rekreacji sił fizycznych pracownika. Właściwym użytkowaniem lub kształtowaniem wczasów robotniczych pragnie się zająć nie tylko lekarz i wychowawca fizyczny, ale także oświatowiec, bibliotekarz, organizator turystyki. Swoje trzy grosze pragnie tutaj wtrącić urbanista, architekt społeczny, organizator ogródków działkowych i dziecięcych. Polityk społeczny, zainteresowany życiem i sprawą awansu kulturalnego mas pracowniczych przyjmuje sprawę wczasów pracowniczych za przedmiot swoich badań. Ekonomista znajduje w tym problemie także zamiłowanie, gdyż interesuje go wpływ właściwego zużytkowania wczasów na wydajność pracy pracownika, sprawa przesuwania się konsumcji, wpływ turystyki na przyspieszanie obrotów i przesuwanie dróg tych obrotów. O związkach zawodowych, dla których całe życie i praca pracownika jest fundamentem działalności, można nie wspominać. Natomiast trzeba wspomnieć o polityku, który pragnąłby podporządkować organizację wczasów pracowniczych swoim celom politycznym.

Jak widać zagadnienie wczasów pracowniczych i ich organizacji posiada horyzonty bardzo rozległe. Obejmuje ono wszystkie fragmenty życia pracowniczego poza pracą a w swym zarysie ogólnym dotyka najbardziej zasadniczych kwestii, związanych ze sprawą kultury szerokich mas, ich zdrowia i dobrobytu. Istnieją działacze społeczni (i to niepośledni), którzy uważają, że poprzez właściwą organizację wczasów pracowniczych można osiągnąć nowy, doskonalszy porządek społeczny.

Nic dziwnego, że tak szeroko postawione zagadnienie obudziło właśnie w naszych czasach powszechne zainteresowanie. Nie tylko u nas zresztą, lecz przede wszystkim za granicą. Około tego zagadnienia, o którym jeszcze w 1934 roku Minister Pracy państwa najbardziej ostrożnego wobec wszelkich nowinek, mianowicie Anglii, powiedział, że „nie może sobie wyobrazić sprawy ważniejszej w chwili obecnej i w przyszłości", wytworzył się silny ruch międzynarodowy, obejmujący różne ośrodki pracy praktycznej i badawczej. Żadnemu bodaj problemowi nie poświęcono tyle konferencyj i kongresów międzynarodowych w ostatnich latach, co właśnie sprawie wczasów pracowniczych. Wyliczmy je: w 1930 roku pierwszy kongres wczasów pracowniczych w Liège; w 1932 roku w Los Angeles; w 1935 roku w Brukseli; w 1936 roku w Hamburgu; w 1938 roku konferencja w Brukseli i kongres w Rzymie. Wszystko to były zjazdy międzynarodowe, obesłane przez delegacje licznych krajów. Trudno byłoby wyliczyć kongresy i konferencje krajowe, poświęcone temu zagadnieniu.

*

Skąd się wzięło zagadnienie wczasów? Jest ono pochodzenia dosyć niedawnego. Dopiero od niedawna bowiem pracownik poza pracą i wypoczynkiem fizjologicznym (snem) posiada dla siebie trochę czasu wolnego, tzn. budżet wczasów. Zasługę podniesienia i postawienia tego zagadnienia (jak zresztą i wielu innych zagadnień społecznych) należy przypisać Międzynarodowej Organizacji Pracy. Na konferencji Waszyngtońskiej (w 1919 roku) padło po raz pierwszy słowo o „prawie pracownika do wczasów". Jest rzeczą interesującą, że padło ono z ust przedstawiciela pracodawców. Nie kto inny, jak przedstawiciel pracodawców angielskich (Barnes) mówił w 1919 r. w Waszyngtonie: „Pracownik powinien posiadać prawo do wczasów, tzn. — po opuszczeniu swojej pracy — do cieszenia się życiem, do wypoczynku i rekreacji, do doskonalenia swojego wykształcenia i do zajmowania się swoimi obowiązkami wobec rodziny i społeczeństwa".

Później dopiero VI konferencja w 1924 roku zajmowała się tym problemem. Po ożywionej dyskusji konferencja to przyjęła uchwałę, wzywająca państwa - członków Międzynarodowej Organizacji Pracy do zajęcia się tym zagadnieniem i stwarzania dla pracowników ułatwień w dziedzinie oświatowej i kulturalnej. Na tym jednak akcja Międzynarodowej Organizacji Pracy skończyła się. Inicjatywę w dalszej pracy nad zagadnieniem przejęły czynniki społeczne. Kongres w Liège został zwołany przez działaczy społeczno-oświatowych belgijskich. Wysunęli oni między innymi sprawę powołania do życia międzynarodowego biura wczasów, które by zajęło się dokumentacją i koordynacją wysiłków w tej dziedzinie. Do powołania stałej organizacji międzynarodowej nie doszło, a wyniki obrad kongresu nie wywołały zbyt wielkiego zainteresowania poza kręgiem specjalistów.

Inicjatywa zwołania w roku 1932 kongresu międzynarodowego, poświęconego sprawie organizacji wczasów pracowniczych, została podjęta przez zupełnie inne środowisko, tym razem amerykańskie. Kongres ten został zorganizowany przez National Recreation Association i odbył się w Los Angeles w związku z Olimpiadą. Zarówno środowisko, jak i współczesność Olimpiady nadały temu kongresowi specjalny charakter. Zajmowano się na nim przede wszystkim sprawami popularyzacji sportu i wychawania fizycznego. Związanie sprawy wczasów z Olimpiadą miało swoje dobre i złe strony. Złe polegały na zwężeniu problemu i pewnej jednostronności, dobre wiązały się z popularnością Olimpiady, która miała objąć także sprawy wczasów. Jest rzeczą ważną, że na kongresie w Los Angeles udało się powołać zalążek instytucji, która miała zajmować się sprawą współpracy międzynarodowej w dziedzinie wczasów i która miała czuwać nad organizacją następnego kongresu — tzn. Międzynarodowy Komitet Doradczy. Postanowiono również, że następny kongres odbędzie się w czasie i miejscu następnej Olimpiady, tj. w 1936 roku w Niemczech.

Do tego czasu więc problem organizacji wczasów ujawnił się na forum międzynarodowym pod dwoma różnymi aspektami: na kongresie w Liège jako wyraz dążeń organizacyj oświatowo-społecznych, przede wszystkim robotniczych do podnoszenia oświaty i kultury mas pracowniczych, przy czym dążenia te wiązano ściśle zarówno z Międzynarodowym Biurem Pracy w Genewie jak i z międzynarodowym ruchem zawodowo robotniczym; na kongresie w Los Angeles jako dążenie kół społecznych. związanych ze sprawą wychowania fizycznego sportu i higieny społecznej do wykorzystania zjazdów na gry olimpijskie dla celów pogłębiania i popularyzacji myśli o społecznym znaczeniu sportów i wychowania fizycznego. Należy stwierdzić, że

zarówno pod pierwszą jak i pod drugą postacią idea wczasów nie wyszła poza koła fachowców.

*

Szerokiego rozgłosu nabrała sprawa organizacji wczasów robotniczych w związku z wydarzeniami o charakterze raczej lokalnym, niż międzynarodowym, mianowicie w związku z powołaniem do życia w Niemczech po przewrocie hitlerowskim organizacji pod nazwą „Kraft durch Freude" i w związku z osiągnięciami tej organizacji. W ramach ogólnej organizacji życia społecznego organizacja „Kraft durch Freude" nadała sprawie wczasów takie rozmiary, a dzięki posiadanym zupełnie nadzwyczajnym środkom materialnym osiągnęła np. w dziedzinie organizacji urlopów robotniczych, wycieczek, wędrówek, sportu popularnego, teatru i popularyzacji sztuki takie wyniki, że zwróciło to uwagę wielu działaczy i badaczy zagranicznych. Umiejętna reklama zagraniczna osiągniętych wyników uczyniła z organizacji „Kraft durch Freude" jedną z najbardziej popularnych instytucji na forum międzynarodowym. Otóż trzeba stwierdzić, że wraz z organizacją „Kraft durch Freude" zjawiło się zagadnienie wczasów w nowej jeszcze postaci, mianowicie w postaci środka politycznego kształtowania i wychowywania społeczeństwa. Celem działalności „Kraft durch Freude" nie jest samo organizowanie wczasów robotniczych, ile raczej poprzez kształtowanie tych wczasów w ściśle określonym kierunku i w ściśle określonych formach oddziaływanie na kształtowanie się światopoglądu politycznego szerokich mas.

Rozgłos, spowodowany rozwojem akcji „Kraft durch Freude" wywołał pewne ożywienie na tym odcinku także w kołach, związanych z Międzynarodowym Biurem Pracy. W 1934 roku powołano do życia w Genewie tzw. Międzynarodową Komisję Wczasów. Przy współpracy tej Komisji zwołano do Brukseli w 1935 roku Kongres Międzynarodowy, na który zaproszono przedstawicieli międzynarodowych i narodowych społecznych organizacyj świata pracy oraz przedstawicieli rządów. Przedmiot obrad Kongresu, sprawozdanie z którego zostało wydane staraniem Międzynarodowego Biura Pracy (Les loisirs du travailleur, Genève 1936), stanowiły wyłącznie zagadnienia oświaty i kultury pracowniczej. Biorąc pod uwagę konieczność ośrodka, koncentrującego doświadczenia, organizującego dokumentację i wymianę doświadczeń, uchwalono powołanie do życia Międzynarodowego Biura Wczasów z siedzibą w Genewie. Biuro to miało współpracować ściśle z Międzynarodowym Biurem Pracy.

Wreszcie w czerwcu 1936 roku odbył się kongres w Hamburgu, nazwany przez organizatorów Światowym Kongresem Kształtowania Wczasów (Weltkongress der Freizeitgestaltung). Był to chyba pierwszy tego typu kongres naukowo-społeczny. „Kraft durch Freude", która podjęła się organizacji kongresu, dysponowała nie tylko wielkimi środkami, pozwalającymi jej sprosić kilkuset gości zagranicznych, ale także bezpośrednią pomocą placówek dyplomatycznych i konsularnych niemieckich. Dzięki temu na kongres zjechali się przedstawiciele 50 przeszło państw, a delegaci stanowili kilkusetny tłum. Nacisk został położony nie tyle na obrady, ile na rozmaite widowiska, pokazy, przyjęcia i wycieczki. Kongres został zawojowany przez przedstawicieli „Kraft durch Freude". Referaty, których zgłoszono około stu nie zostały wszystkie wygłoszone. Natomiast na wniosek Niemców Kongres powołał do życia organ współpracy międzynarodowej w zakresie wczasów tzw. Międzynarodowe Biuro „Radość i Praca" z siedzibą w Berlinie oraz postanowił, że następny zjazd odbędzie się już niezależnie od Olimpiady w roku 1938 w Rzymie.

W Hamburgu ujawniła się koncepcja wczasów jako środka oddziaływania politycznego z całą siłą. Oczywiście ujawniła się ona na razie jako koncepcja niemiecka, przyjmowana przez przedstawicieli innych narodów z dużą rezerwą. Dopiero działalność Międzynarodowego Biura „Radości i Pracy" wykazała, że Niemcy pragną tę koncepcję propagować, aby za jej pośrednictwem uzyskać pewnego rodzaju wpływ kulturalno-społeczny na inne państwa. Biuro Międzynarodowe rozpoczęło wydawanie czasopisma pięciojęzycznego. Rozpoczęło ono propagandę polityczną zupełnie określonego kierunku, dla której sprawy wczasów były jedynie płaszczykiem. Tym niemniej oczekiwano kongresu w Rzymie, aby przekonać się o dalszym rozwoju zagadnień.

Tuż przed Kongresem w Rzymie miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie natury międzynarowej na interesującym nas odcinku. Oto w maju 1938 roku odbyła się konferencja w Brukseli, zwołana przez przewodniczącego Kongresu Brukselskiego, której przedmiotem miało być rozważenie kwestii powołania do życia Międzynarodowego Biura Wczasów. W konferencji wzięli udział przedstawiciele 15 krajów oraz delegaci międzynarodowych organizacyj pracowniczych i społecznych, jak Federacji Międzynarodowych organizacyj pracowniczych i społecznych, jak Federacji Międzynarodowej Związków Zawodowych (Fédération Syndicale Internationale), Konfederacji Chrześcijańskich Związków Zawodowych, Międzynarodowego Związku Spółdzielczego. Były również reprezentowane: Międzynarodowe Biuro Harcerskie, Międzynarodowe Biuro Młodzieży Chrześcijańskiej, Instytut Międzynarodowy Współpracy Intelektualnej i wreszcie Międzynarodowe Biuro Pracy.

Zasadniczy przedmiot obrad tej konferencji stanowiła sprawa powołania do życia Międzynarodowego Biura Wczasów. Uzasadniając konieczność powołania takiego biura mimo istnienia w Berlinie Międzynarodowego Biura „Radości i Pracy", przewodniczący tej konferencji p. L. Piérard mówił m. in.: „My nie możemy zrozumieć sprawy użytkowania wczasów robotniczych inaczej, jak pod znakiem wolności, przy respektowaniu wszystkich poglądów i wierzeń. My wierzymy, że rola władzy publicznej w tej dziedzinie powinna ograniczyć się jedynie do wspomagania, doradzania i koordynowania wysiłków prywatnych lub społecznych. Któż chciałby twierdzić, że taka jest właśnie koncepcja organizatorów kongresu hamburskiego i rzymskiego?"

Na to pytanie dał kongres rzymski, który odbył się w czerwcu 1938 roku przy współudziale propagandy, uczt i pokazów i który zgromadził znowu setki delegatów i setki referatów na rozmaite tematy oraz armię korespondentów prasy zagranicznej, wyraźną odpowiedź. W przemówieniu, które należy uważać za wskazania programowe ruchu nazwanego „Radość i Praca", Dr Ley główny animator i twórca „Kraft durch Freude" oraz Międzynarodowego Biura „Radości i Pracy" podkreślił, że zasługą kongresów hamburskiego i rzymskiego jest, iż nadały one sprawie wczasów polityczny charakter. Ten polityczny charakter przejawia się w ujmowaniu ruchu wczasów jako narzędzia walki przeciwko bolszewizmowi, a kongresów międzynarodowych jako swojego rodzaju „antykominternu". „Także te kraje — mówił dosłownie dr Ley — w których sprawa kształtowania wczasów pozostawała dotychczas apolityczna, zostały zmuszone zająć zaznaczoną (tj. antykomunistyczną) linię walki" W związku z tym oświadczeniem specjalnego znaczenia nabiera uchwała kongresu rzymskiego, w myśl której następny Światowy Kongres „Radości i Pracy" ma się odbyć w roku 1940 w Osaka w Japonii.

*

Trzeba przyznać, że ta ostatnia postać problemu wczasów robotniczych nie jest zachęcająca. Zepchnięcie zagadnienia do roli walki z komunizmem należy uznać za wulgaryzację sprawy ważnej, skomplikowanej i nie mającej w zasadzie z tak pojętą polityką nic do czynienia. Niewątpliwie sympatyczniej brzmią słowa p. Piérard, dla którego sprawa wczasów jest sprawą podnoszenia na wyższy poziom kulturalny i społeczny mas pracowniczych „pod znakiem wolności". Należy pamiętać jednak, że o ile ruch międzynarodowy, którego animatorami są działacze belgijscy, nie rozporządza innymi środkami, jak tylko współpracą organizacyj społecznych i kulturalnych, o tyle ruch tz. „Radości i Pracy" dysponuje bodaj nieograniczonymi środkami materialnymi oraz poparciem bardzo silnej organizacji państwowej (niemieckiej). Toteż nic dziwnego, że wpływ tego ostatniego ruchu posiada niezwykle szeroki zasięg, docierając do państw i narodów najbardziej odległych i torując drogę innym elementom polityki i ekspansji.

Natomiast jest rzeczą wątpliwą, czy ruch „Radości i Pracy" spełni rolę obiektywnego badacza i informatora, jakiej między innymi się podjął, czy rozszerzy i pogłębi wiedzę o wczasach i o technice ich organizacji. W tej dziedzinie Międzynarodowe Biuro „Radości i Pracy" uczyniło dotychczas niewiele. Wydanie referatów kongresu Hamburskiego jest zdaje się jedyną pozycją pozytywną w tym zakresie. Z tego wynika, że w pracach nad tym zagadnieniem, którego wielką wagę dzisiaj już wszyscy doceniają, nie należy się oglądać na pomoc zagraniczną, lecz badać i rozwiązywać we własnym zakresie. Takie zdaje się jest zdanie odpowiednich czynników w Polsce. Prace badawcze Instytutu Spraw Społecznych w tym zakresie oraz praktyczna działalność niedawno powołanego do życia Centralnego Biura Wczasów prawdopodobnie przyczynią się najpierw do postawienia, a następnie do rozwiązania tego zagadnienia w naszej narodowej skali i według naszych potrzeb.

KONTO P. K. O. 11.144

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Od Waszyngtonu do Moskwy

Paryż, w lutym.

(z. d.) „Burza w szklance wody" — oto jak określiła pani Roosevelt zamieszanie, wywołane w świecie i w Stanach Zjednoczonych przez domniemane, czy faktyczne oświadczenie prezydenta na tajnym posiedzeniu komisji spraw wojskowych Kongresu o tym, że „w razie wojny w Europie granice Stanów Zjednoczonych będą się znajdować we Francji".

W chwili, kiedy piszemy te słowa, toczy się namiętna dyskusja prasowa nad tym, czy prezydent istotnie powiedział czy nie powiedział tych słów. Dyskusja ta, jeśli rozpatrywać ją z punktu widzenia ściśle obiektywnego, bez związku z wewnętrznopolityczną sytuacją Stanów Zjednoczonych i Roosevelta — jest bezprzedmiotowa. W razie wojny mocarstw osi totalnej z Francją i Anglią granice Stanów Zjednoczonych musiałyby istotnie znaleźć się we Francji, niezależnie od woli prezydenta, czy oporu opozycji. Wojna taka byłaby wojną o kolonie, m. in. o atlantyckie posiadłości obu mocarstw zachodnich i gdyby po wygranej wojnie Włochy i Niemcy uzyskały terytoria, tym samym i wojenne bazy morskie u wybrzeży Atlantyku, to Stany Zjednoczone nie miałyby już możności trwać w wygodnej pozycji „wspaniałego odosobnienia", jakiego pragną przeciwnicy Roosevelta: sąsiadowałyby wtedy przez Atlantyk z możliwymi przeciwnikami. Granice Stanów Zjednoczonych istotnie znajdują się we Francji, jest ona istotnie dla północno - amerykańskiej republiki pierwszą linią bezpośredniej obrony jeśli nie własnego terytorium to co najmniej własnego spokoju. Gdy więc prezydent czyni wszystko, aby podtrzymać moralnie Francję wobec Niemiec i Włoch i w dodatku ułatwia Francji zbrojenie się w fabrykach amerykańskich, przez co zmniejsza szanse napaści Włoch i Niemiec na Francję, to w gruncie rzeczy prowadzi politykę, której rezultatem może być wzmocnienie warunków międzynarodowych, pozwalających Stanom Zjednoczonym myśleć o „wspaniałym odosobnieniu".

Polityka zagraniczna Roosevelta, polegająca na materialnym i moralnym popieraniu Anglii i Francji i stwarzaniu p r a w d o p o d o b i e ń s t w a, że Stany Zjednoczone w razie wojny wystąpią do walki po stronie Anglii i Francji, jest w gruncie rzeczy polityką dalekowzrocznego izolacjonisty: prezydent nie bierze na siebie żadnych zobowiązań obrony państwa napadniętego, a jednocześnie zwiększa stopień ryzyka napastnika. Opozycja przeciwko takiego rodzaju polityce, rozpętana dziś przez izolacjonistów amerykańskich, jest tylko prostą demagogią polityczną, obliczoną na mające się odbyć w roku 1940 nowe wybory prezydenckie.

*

Wielka mowa kanclerza Hitlera w dniu 30 stycznia była zwrotnym punktem w zagranicznej polityce Rzeszy. Odzyskanie dawnych kolonij, względnie takie czy inne rozwiązanie potrzeb kolonialnych Niemiec, określone zostało jako ich konieczność życiowa. Sprawa kolonij postawiona została w formie wykluczającej roztopienie jej w bezpłodnych dyskusjach i polemikach. Musi ona zostać w najbliższej przyszłości rozwiązana.

Niemal równocześnie wojska włoskie złamały w Hiszpanii niezmiernie ważną pozycję obronną hiszpańskiego rządu legalnego — zajęły Barcelonę a z nią Katalonię po granicę francuską. Definitywne militarne zwycięstwo gen. Franco nad resztą sił rządowych jest w takich warunkach już tylko sprawą niedługiego czasu. W prawicowych kołach europejskich to zwycięstwo święci się jako zwycięstwo „Hiszpanii narodowej" — w Rzymie święci się je jako zwycięstwo faszyzmu, czyli narodu włoskiego. Tak, czy inaczej, w rezultacie tego zwycięstwa we wszystkich ważnych punktach strategicznych Hiszpanii będą się znajdowały włoskie oddziały zmotoryzowane i włoskie oraz niemieckie eskadry samolotów. Mussolini obiecał wycofać wojska swe z Hiszpanii po ostatecznym zwycięstwie gen. Franco, lecz tak samo, swojego czasu, już po zawojowaniu Abisynii oświadczył, że Włochy są państwem zaspokojonym kolonialnie, a teraz wysunął nowe kolonialne rewindykacje. Czyż więc można wiedzieć, czy za miesiąc wódz Włoch nie wyłoży światu powodów, dla których uzna za konieczne stałe okupowanie Hiszpanii przez swe milicje? Już dziś zaczynają się odzywać w Rzymie dyskretne głosy, że Włochy wycofają wprawdzie z Hiszpanii swych ochotników po ostatecznym zwycięstwie gen. Franco, ale po ostatecznym zwycięstwie nie tylko militarnym, lecz i politycznym. Oczywiście na to drugie zwycięstwo może będziemy musieli bardzo długo czekać. Przez ten zaś czas Francja będzie zagrożona nie tylko nad Renem i w Alpach, lecz również od strony Pirenejów i wysp Balearskich.

Te dwa fakty: postawienie przez kanclerza Hitlera w oficjalnej formie rewindykacyj kolonialnych i upadek Barcelony zostały ujęte przez Hitlera w jednolite wydarzenie polityczne przez jego oświadczenie o solidarności Niemiec i Włoch. Niemcy będą na wypadek wojny po stronie Włoch, a więc po stronie mocarstwa, które wysunęło — na razie półoficjalnie — rewindykacje kolonialne pod adresem Francji, a więc państwa, które Włochy otaczają militarnie od strony Hiszpanii. We Francji i w Anglii niepoprawni marzyciele polityczni zaczęli analizować spektralnie te zdania mowy Hitlera, w których mówi on o poparciu Niemiec dla Włoch w razie wojny; zaczęli się zastanawiać, czy te zdania odnoszą się do wojny, w której Włochy byłyby napadnięte, czy do wojny, w której byłyby one napastnikiem. Marzycielstwo i bezgraniczna naiwność! Czyż Hitler mógł powiedzieć: „kiedy Włochy napadną na Francję, to my pójdziemy z nimi"? Marzycielstwem i naiwnością są również dysertacje anglo-francuskie na temat oświadczenia kanclerza Hitlera, że jego zdaniem sprawa kolonij nie powinna doprowadzić do wojny. W sytuacji, jaka została wytworzona, Anglia i Francja albo będą musiały uczynić zadość rewindykacjom Niemiec i Włoch, albo też się bić.

*

Może jednak Chamberlain, kiedy mówi, że „nie ma takiego sporu międzynarodowego, który nie dałby się rozstrzygnąć drogą pokojowego porozumienia" ma rację; oczywiście — z punktu widzenia Anglii. Ten punkt widzenia podchwycił i rozwinął w swym przemówieniu Hitler, gdy mówił, że jego zdaniem sprawa rewindykacji kolonialnych Niemiec nie powinna doprowadzić do wojny. Jeżeli jednak zarówno Chamberlain jak i Hitler mają rację, to w jaki sposób da się ta racja praktycznie zrealizować? Chamberlain dał nam na to pośrednią odpowiedź: „gdyby stosunki między Wielką Brytanią i Włochami nie uległy poprawie, nigdy bym nie otrzymał we wrześniu ubiegłego roku współpracy Mussoliniego, a bez jego współpracy nie sądzę, żeby pokój mógł być uratowany".

Zdanie to wypowiedział brytyjski minister w mowie, wygłoszonej 28 stycznia w Birminghamie, w której nade wszystko uzasadniał konieczność dalszego rozwoju przyjaznych stosunków między Anglią i Włochami. Tkwi w tym zagadnienie, poruszone przez nas w poprzednim zeszycie „Narodu i Państwa", mianowicie zagadnienie brytyjskiej polityki kontynentalnej równowagi. Jeżeli Mussolini uratował we wrześniu pokój, to z punktu widzenia równowagi europejskiej sprawa ta wygląda tak: we wrześniu groziła wojna, gdyż Francja, oparta o Sowiety i Anglię nie stanowiła takiej przeciwwagi przeciwko połączonym siłom Niemiec i Włoch, żeby ryzyko wojny dla tych mocarstw było dostatecznie wielkie dla odwiedzenia ich od wojny. Z chwilą jednak, kiedy Chamberlain zwrócił się do Mussoliniego z prośbą, żeby odegrał on rolę mediatora, z chwilą, gdy ustalono w Monachium takie warunki rozwiązania sprawy Czechosłowacji, w których Mussolini uznał, że Niemcy nie powinny się bić,

niebezpieczeństwo wojny zostało usunięte, gdyż z tą chwilą Mussolini niejako przestał popierać zbrojnie Niemcy, powstała równowaga sił między Niemcami a Francją i Sowietami, równowaga, która przez poparcie Anglii dla Francji zamieniała się w definitywną przewagę po stronie francuskiej. Jeżeli więc w przyszłości Niemcy znowu zagrożą Europie wojną, to Chamberlain znowu będzie starał się uzyskać od Mussoliniego poparcie w obronie pokoju, to znaczy wpływ jego na Niemcy w sensie pokojowym. Oczywiście Mussolini da to poparcie w warunkach, które uzna za czyniące zadość „sprawiedliwości europejskiej".

Nasuwa się więc pytanie, czy Chamberlain nie postanowił definitywnie skorzystać z pomocy Mussoliniego w wypadku, gdyby niemieckie rewindykacje kolonialne okazały się zbyt wygórowane i skutkiem tego powstała nowa możliwość wojny? Niewątpliwie Mussolini odpowiedziałby wtedy jak i we wrześniu ubiegłego roku przychylnie na apel Chamberlaina, nawołujący do ratowania pokoju. Lecz tak samo jak w Monachium, postawiłby warunki „sprawiedliwości europejskiej" — do których dzisiaj prasa włoska zalicza w pierwszym rzędzie uczynienie przez Francję zadość rewindykacjom włoskim. Nic więc dziwnego, że mowa Chamberlaina w Birminghamie, choć pełna optymizmu w odniesieniu do pokoju europejskiego, przyjęta była we Francji z wielką rezerwą. Tym bardziej, że Chamberlain, mówiąc w Birminghamie szeroko o rozwijających się przyjaznych stosunkach między Anglią i Włochami, pominął zupełnie przyjaźń angielsko-francuską. Prawda, że potem w Izbie Gmin tę przyjaźń podkreślił bardzo mocno; niemniej przekonaliśmy się ponad wszelką wątpliwość, że premier Wielkiej Brytanii może rysować obraz międzynarodowej sytuacji swego kraju z pominięciem Francji. Jest to fakt być może mało uchwytny, lecz niemniej o olbrzymim znaczeniu.

*

W Europie wschodniej należy zanotować dwa wydarzenia o znaczeniu międzynarodowym: dymisja gabinetu Stojadinowicza oraz zerwanie stosunków dyplomatycznych między Sowietami i Węgrami.

Powód dymisji Stojadinowicza jest natury wewnętrzno-politycznej. Długoletni szef polityki Jugosławii musiał ustąpić, gdyż nie potrafił rozwiązać tak istotnej dla Jugosławii sprawy, jak sprawa kroacka. W zasadzie więc zmiana rządu nie powinna wpłynąć na zmianę polityki zagranicznej Jugosławii, tym bardziej, że ministrem spraw zagranicznych został w nowym rządzie jeden z najważniejszych współtwórców zagranicznej polityki rządu Stojadinowicza, poseł Jugosławii w Berlinie. Wydaje się nawet, iż w tak trudnej z punktu widzenia międzynarodowego chwili, jak obecna, oraz w związku z trudnościami wewnętrznymi, nowy rząd nie będzie sprawy ewentualnej zmiany kierunku polityki zagranicznej w ogóle dyskutować. Lecz jeśli chodzi o nieco dalszą przyszłość, to zagadnienie to ma zupełnie odrębną postać. Dymisja rządu Stojadinowicza wykazała, że mimo autorytatyzmu rządów w Jugosławii, mimo zwycięstwa bloku Stojadinowicza w wyborach do Skupczyny, siła moralna opozycji jest wielka i zdolna zmusić rząd do zmiany polityki. Otóż polityka zagraniczna, prowadzona przez dotychczasowego premiera, spotykała się z silną opozycją w łonie społeczeństwa jugosłowiańskiego. W odpowiedniej chwili może więc pod naciskiem opinii ulec radykalnej zmianie.

Zerwanie przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z Węgrami, motywowane domniemaną faktyczną podległością Węgier Niemcom, jest ważnym faktem z następujących względów: dowodzi, że mimo tragicznego końca polityki czechosłowacko-sowieckiej Sowiety nie mają zamiaru przestać interesować się sprawami Europy dunajskiej, a tym samym należy się spodziewać, że nadal będą starały się spożytkować swój potencjał polityczny i militarny dla tamowania niemieckiego parcia na Wschód.

ZAGADNIENIA

Tomasz Piskorski

W sprawie wychowania młodzieży rzemieślniczej

Na marginesie artykułu dra Czesława Wieckiego w Nrze 3—4 „N. i P."

W nr. 3—4 „Narodu i Państwa" z dnia 30 stycznia r. b., w artykule pt. „W sprawie wychowania młodzieży rzemieślniczej" autor jego dr med. Czesław Wiecki słusznie zwrócił uwagę na szkodliwość luki, jaką widzimy w wychowaniu tej młodzieży, między latami ukończenia szkoły powszechnej i latami rozpoczęcia nauki rzemiosła.

Niewątpliwie jest to jedno z tych typowych zagadnień, z którymi odrodzona państwowość nasza nie zdążyła dotąd uporać się, a które, z powodu nierozwiązania ich, pociągają opłakane skutki dla społeczeństwa, zwłaszcza zaś, jak w danym wypadku, dla młodego pokolenia. Jeżeli więc zabieram głos w tej kwestii, czynię to nie dla polemiki z autorem wspomnianego artykułu, lecz przede wszystkim dla wprowadzenia pewnej faktycznej poprawki. Otóż dr Wiecki myli się, twierdząc, że luka ta trwa *dwa lata*. Na szczęście jest ona krótsza, gdyż wynosi *jeden rok*. *Do terminu w rzemiośle wolno już bowiem przyjmować nie po ukończeniu 16-go roku życia, lecz 15-go*. Wynika to z brzmienia art. 5 ustawy z dnia 2 lipca 1924 r. w przedmiocie pracy młodocianych i kobiet, gdzie wzbroniono przyjmowania przed ukończeniem lat 15.

Aczkolwiek jednak przerwa między nauką w szkole powszechnej i nauką w rzemiośle ściąga się do jednego tylko roku, stanowi to dostatecznie długi okres czasu, aby kandydat na rzemieślnika mógł ulec tym niebezpieczeństwom, jakie przytacza autor artykułu. Aby niebezpieczeństwa te zwalczyć i problem szkodliwej luki rozwiązać ku dobru młodzi rzemieślniczej dr Wiecki proponuje *przesunięcie obowiązku szkolnego z 7-go roku na 8-my;* wówczas przyszły terminator traciłby — według autora — tylko jeden rok. Po uwzględnieniu naszej poprawki — nie traciłby nic, gdyż bezpośrednio po ukończeniu szkoły powszechnej stałaby przed nim otworem nauka w rzemiośle.

Istnieje inny jeszcze sposób, niewątpliwie — zdaniem piszącego — lepszy od poprzedniego, ale trudniejszy do realizacji, jako pociągający za sobą konieczność zreformowania obowiązującego systemu szkolnego i powodujący znaczne zwiększenie wydatków na oświatę. Byłoby to *przedłużenie nauki w szkole powszechnej o 1 rok* — mielibyśmy wówczas, podobnie jak w niektórych krajach zachodnio-europejskich, *szkołę powszechną 8-letnią*. Przynajmniej teoretycznie byłoby to rozwiązanie najlepsze.

Sfery rzemieślnicze zdają sobie doskonale sprawę ze wszystkich fatalnych następstw, jakie pociąga za sobą omawiana luka. Rozwiązanie jednak, jakie ze swej strony wysuwają, nie idzie w żadnym z obu przedstawionych kierunków, lecz w tym, aby zezwolić na wcześniejsze przyjmowanie młodzieży do terminu, a więc *po ukończeniu lat 14*. Wprawdzie i dr Wiecki, przypuszczając nieściśle, że luka trwa 2 lata, pragnąłby aby o rok wcześniej rozpoczynać przyjmowanie kandydatów do rzemiosła, proponując granicę lat 15. Jest jednak wielka różnica, mimo odmiennych pozorów, między wyznaczeniem dolnej granicy zatrudniania na lat 15 i lat 14. Ministerstwo Opieki Społecznej, które czuwa nad przestrzeganiem postanowień wymienionej ustawy, nie chce słuchać o jakichkolwiek ustępstwach w tym zakresie — i ma bodaj w tym pełną rację. Toteż reforma będzie musiała zmierzać raczej ku innemu rozwiązaniu.

Jeszcze jedno należy dodać. Sytuacja na terenie większości miast Polski wygląda daleko gorzej, niż to przedstawia dr Wiecki. Oto spora część adeptów rzemiosła przychodzi do niego nie po ukończeniu całego „powszechniaka", lecz zaledwie kilku klas. W tych warunkach oczekiwanie na rozpoczęcie nauki w terminie trwa dłużej, niż rok lub dwa... Jakie przyczyny to powodują? Najróżnorodniejsze: brak zrozumienia potrzeby dalszego kształcenia się, żądanie rodziców pomocy dzieci w gospodarstwie domowym lub pracy zarobkowej, brak opieki rodzicielskiej lub tolerancja z jej strony lenistwa młodzieży itd.

Poruszone zagadnienie przerwy w wychowaniu stanowi tylko jedną z wielu bolączek, związanych z przygotowaniem do życia młodych rzemieślników. Oto ważniejsze z nich: zupełnie niedostateczna ilość szkół dokształcających zawodowych, do których wszyscy terminatorzy winni uczęszczać; brak burs, co godzi zwłaszcza w przybyszów ze wsi; niechęć do przyjmowania do terminu, spowodowana materialnym wyrachowaniem pryncypała, ograniczenie w każdym z warsztatów ilości terminatorów, co ma swe źródło w obowiązujących normach stosunku ilościowego terminatorów do czeladników (wśród których wciąż jeszcze w znacznej większości rzemiosł panuje bezrobocie!); nieodpowiednie warunki higieniczne i moralne, w jakich nader często przebywają terminatorzy; nieodosobnione wypadki wyzysku pracy terminatorskiej; niski poziom kulturalny młodzieży, idącej do rzemiosła i ujemne wpływy, jakim podlega ona w ciągu pobytu w terminie; nieumiejętne szkolenie fachowe narybku rzemieślniczego,

zwłaszczą, gdy nauka odbywa się — co, niestety, dzieje się na porządku dziennym — u rzemieślników nieupoważnionych przez prawo przemysłowe do kształcenia terminatorów a nawet zgoła u tzw. „fuszerów" („partaczy"), tj. osób, nie posiadających prawa prowadzenia rzemiosła; problem nauki rzemiosła w szkołach zawodowych i ujemne strony tej nauki (obok wielu niewątpliwie dodatnich) itp.

Z młodzieżą rzemieślniczą w Polsce nie wszystko więc jest w porządku! Aż nadto dużo spraw czeka na rozwiązanie; każdej z nich należałoby poświęcić oddzielne omówienie.

Na marginesie

Polska i Watykan

Żałoba, jaka na skutek śmierci Ojca Świętego, Piusa XI, okryła Kościół Katolicki, dla Polski posiada znaczenie szczególnie doniosłe.

Ze stanowiska, z którym — obok kierownictwa spraw tak potężnej instytucji, jaką jest Kościół Katolicki — związane jest pojęcie najwyższego autorytetu moralnego cywilizowanego świata, odszedł Człowiek. który był z Polską związany wartościowymi węzłami współuczestnictwa w jednym z najbardziej decydujących i ważnych momentów naszej historii.

Dla państwa, które — jak Polska — posiada szereg doniosłych zagadnień, związanych ze sprawami wyznaniowymi, była to okoliczność niezmiernie doniosła. Rzeczą więc naturalną jest, że sprawa następstwa na Stolicy Apostolskiej musi budzić w Polsce szczególne zainteresowanie. Obok Włoch i Francji Polska jest największym państwem katolickim Europy, a poniekąd i świata. Z faktu tego dotychczas nie płynęły odpowiednie wnioski w zakresie formalnego uznania roli Polski w całości organizacji Kościoła Katolickiego. Pewnym zadośćuczynieniem faktycznym i moralnym był tu jednak wspomniany wyżej fakt żywych związków uczuciowych, wiążących z Polską potężną niewątpliwie indywidualność jednostkową Piusa XI. Ze zmianą na Stolicy Apostolskiej wiązać się jednak będzie zapewne wygaśnięcie tego dotychczasowego uczuciowego bezpośredniego związku. Lecz w takim razie moment należytego docenienia potrzeb i spraw polskich w szerokim zakresie zagadnień, związanych z moralnym i hierarchicznym wpływem Kościoła Katolickiego, może nabrać obecnie nowego i niepośledniego dla Polski znaczenia.

Niebezpieczny przesąd

Prace obu izb parlamentarnych rozwijają się normalnie i rzeczowo. Dyskusje toczą się w atmosferze poważnego zainteresowania, co prawda ograniczonego przeważnie do istotnej w danym momencie dziedziny obrad. Poszczególne dziedziny życia państwowego i gospodarki państwowej omawiane są przy rozpatrywaniu budżetu dość gruntownie i z tendencją dotarcia do źródeł zjawisk ujemnych. Liczba posłów i senatorów, biorących udział w rzeczowych pracach budżetowych i komisyjnych, jest stosunkowo wysoka; podział na posłów istotnie czynnych i występujących w każdej sprawie oraz na posłów zupełnie biernych, pracujących jedynie podjęciem w górę siedzenia na komendę przywódcy klubu — mniej ostry, aniżeli w którymkolwiek z poprzednich sejmów.

A jednak sąd o pracy obu izb parlamentarnych w zwierciadle prasy wyraźnie, czy mniej wyraźnie opozycyjnej — wypada z reguły bardzo krytycznie. Na podstawie głosów tej prasy można by sądzić, że każde niemal posiedzenie izb, to świadectwo ich nieudolności, braku powagi, braku wyrobionego poczucia odpowiedzialności parlamentarnej.

Złośliwość i brak obiektywizmu? — Tak jest, lecz jeszcze i coś więcej. Ludziom, którzy przywykli do sądzenia wartości pracy izb parlamentarnych miarą agitacyjnej przydatności wygłaszanych przy każdej okazji frazesów — tylko rzeczowy stosunek do rozpatrywanych zagadnień wydaje się śmieszny i niegodny prawdziwie wyrobionego politycznie parlamentarzysty. Stąd też w ostrości sądów o obecnej pracy izb przebija się nie tylko brak obiektywizmu, lecz i różnica przyjmowanych za miernik kryteriów.

Różnica ta jest bardzo istotna. Sprowadza się ona do zasadniczego pytania, czy miernikiem wartości parlamentu ma być zdolność pracy, czy zdolność opozycji i agitacji politycznej.

Geneza drugiego kryterium jest bardzo prosta. Pochodzi ono z okresu łamania przez parlamenty ustrojów monarchicznych i absolutystycznych. Dzisiaj — w okresie kryzysu już nie monarchii absolutnej, lecz ustrojów parlamentarnych — kryterium to, pozornie demokratyczne i liberalne. w istocie jest najpoważniejszym niebezpieczeństwem dla samego parlamentaryzmu, źródłem wielu jego najgłębszych tragedii.

Toteż kto chce istotnie ocalić podstawowe warunki i wartości ustroju parlamentarnego musi niezmiernie ostrożnie unikać łatwej stosunkowo agitacji, której wyrazem ma być podtrzymywanie niebezpiecznego przesądu, że wartość parlamentu mierzy się nie jego zdolnością pracy, lecz zdolnością krytyki, nie sumą rzeczowego wysiłku, lecz efektem agitacyjnego frazesu.

Istotnym zwolennikiem i obrońcą ustroju parlamentarnego jest dziś nie ten, kto chce widzieć w izbach parlamentarnych przede wszystkim narzędzie walki politycznej, lecz ten, kto izbom tym wyznacza maksymalny zakres rzeczowej pracy. Na fakt ten oczu dziś zamykać nie należy, nawet jeśli się jest czynnikiem pozaparlamentarnej opozycji.

Współczesne liberum veto

W ostatnich czasach niezmiernie zaostrzyła się agitacja na rzecz tezy, że parlament powinien z największym pośpiechem dokonać uchwalenia ordynacji wyborczej, poczem się rozwiązać dla dokonania nowych wyborów.

Teza ta głoszona jest przez ugrupowania i ludzi, którzy swój stosunek do parlamentu zaznaczyli tylko w jeden sposób: bojkotem wyborów sejmowych i senackich, przyczym znaleźli się w społeczeństwie w wyraźnej i zdecydowanej mniejszości.

Na poparcie tej tezy przytaczany jest jeden argument, głoszący że izby obecne powołane zostały w y ł ą c z n i e dla dokonania zmiany ordynacji wyborczej.

Argument ten ma jednak słabą stronę: jest z gruntu nieprawdziwy. Dokonywuje zupełnie dowolnej i nieuzasadnionej korektury orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej o rozwiązaniu izb poprzednich i zarządzeniu nowych wyborów. Orędzie to bowiem nie mówiło nic o wyłączności zainteresowań izb, powołanych z nowych wyborów, podobnie jak nie nadawało im jakiegoś specyficznego charakteru konstytuanty dla opracowania ordynacji wyborczej.

Cel rozwiązania poprzednich izb i ogłoszenia nowych wyborów w świetle orędzia Pana Prezydenta zarysował się zupełnie jasno, lecz i zupełnie odmiennie, niżeli wygląda to w sposobie dzisiejszego oświetlenia tej sprawy przez zwolenników metody nowoczesnej formy liberum veto, polegającej na rozumowaniu: nie wezmę udziału w wyborach, później zaś oświadczę, że parlament jest nieważny, bo JA, czy MY, wstrzymaliśmy się od głosowania, czy ubiegania o mandaty.

W świetle normalnej analizy aktu rozwiązania izb poprzednich i zarządzenia nowych wyborów sprawa wygląda jak następuje: Izby poprzednie były wybrane przy bardzo znacznej abstynencji wyborczej. Powodem tej abstynencji była, między innymi, ordynacja wyborcza. Ordynacja ta powinna być przedmiotem rozpatrzenia poprzednich izb.

Równocześnie jednak:

> *„od czasu ostatnich wyborów do Izb Ustawodawczych nastąpiły w życiu wewnętrznym Polski istotne przemiany, miały miejsce nowe a doniosłe inicjatywy w dziedzinie stojących przed społeczeństwem zadań, wzrosło w szerokich masach narodu zrozumienie potrzeby czynniejszego współdziałania w pracy dla państwa". (Orędzie Pana Prezydenta z dnia 13.IX 1938 r.).*

I stąd Pan Prezydent Rzeczypospolitej uznał za wskazane:

> *„odnowienie składu tych izb, ażeby mogły one w pracy swej dać pełniejszy wyraz nurtujących w społeczeństwie prądów".*

Przyczym jako jedno z zadań przyszłych izb wymienił:

„Od nowych Izb Ustawodawczych oczekiwać będę zajęcia stanowiska w sprawie ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu“.

Celem więc wyborów była nie konstytuanta, lecz „odnowienie składu izb“, w założeniu, że „w dziedzinie stojących przed społeczeństwem zadań wzrosło w szerokich masach narodu zrozumienie potrzeby czynniejszego współdziałania w pracy dla państwa“.

Przebieg wyborów potwierdził całkowicie założenie, zrealizował cel. W wyborach nie wzięły udziału tylko nie reprezentujące większości społeczeństwa grupy zorganizowanych politycznie malkontentów zasadniczych. Pozycja Sejmu obecnego jest inna, niżeli była pozycja Sejmu z lat 1935 — 1938, aczkolwiek i pozycja tamtego Sejmu z punktu widzenia porządku państwowego i konstytucyjnego była zupełnie wyraźna, mocna i jasna. W stosunku do ordynacji wyborczej izby obecne mają określone jedno tylko zadanie: „zajęcie stanowiska“. Lecz zajęcie stanowiska — to ani wyłączność zainteresowań, ani obowiązek zmiany, ani — tymbardziej — obowiązek gorączkowego pośpiechu w dokonywaniu zmiany.

Piszemy to wszystko nie dlatego, aby osłabić znaczenie i ważność zagadnienia ordynacji wyborczej w porządku i kolejności prac obecnych izb ustawodawczych. Chodzi o co innego, o niemożność i niemoralność ulegania w zasadniczych dla całości państwa sprawach swoistemu terroryzmowi demagogicznego frazesu.

Elementy zorganizowanej opozycyjnej mniejszości, które zamiast wzięcia udziału w wyborach rzuciły hasło ich bojkotu, przegrały swą sprawę w dniu 5 listopada r. ub., nie pociągając za sobą społeczeństwa. Przed tą przegraną przestrzegaliśmy niejednokrotnie, stwierdzając, że hasło bojkotu będzie błędem zarówno obywatelskim, jak politycznym. Dziś grupy te próbują narzucić społeczeństwu sugestię jakiegoś rzekomego obowiązku zarządzenia w najszybszym czasie nowych wyborów, do których znowuż mogłyby ustosunkować się pozytywnie czy negatywnie, zależnie od humoru i nastrojów kierowniczych ciał partyjnych.

Tego rodzaju punkt widzenia jest absolutnie niemożliwy do przyjęcia. Państwo nie jest huśtawką, którą by się naginało dowoli, by ułatwić zajęcie miejsca tym, którzy w danym momencie chcieliby zasiąść na jej stopniach. Zrozumienie tego rodzaju elementarnych prawd jest warunkiem zdrowia każdej zorganizowanej akcji. W przeciwnym razie akcja ta łatwo staje się czynnikiem anarchii.

W dawnej Polsce czynnikiem anarchii była zasada liberum veto. Dzisiaj mamy próby przemycenia pewnego rodzaju obyczaju politycznego, idącego jeszcze o krok dalej. Liberum veto dawniej było przywilejem posła. Dziś widzimy tendencje walczenia o swoiste prawo wolnego „nie pozwalam“ dla tych, którzy — w przeciwieństwie do dawnych posłów upickich — szczycić się pragną faktem, że nawet z troski walczenia o wybór woleli zrezygnować.

Gwiazdy i Etiopowie

Książka p. Iłłakowiczówny „Ścieżka obok drogi“ przeszłaby zapewne bez poważniejszego odgłosu. Książkę cechują wady niezmiernie charakterystyczne dla całej twórczości Autorki, przede wszystkim brak dokładnego wyboru czytelnika. Temat, epizodyczność przedstawionych wypadków, fragmentaryczność rysów pojawiających się postaci — czynią książkę zajmującą przede wszystkim dla ludzi pogłębiających sobie i uzupełniających posiadaną już dobrą znajomość wydarzeń i stosunków przedstawianego okresu. Równocześnie ton ogólny książki, rodzaj porozrzucanych objaśnień, pewne pouczające czy umoralniające dygresje z zakresu bardzo prymitywnych pojęć — wszystko to zdawałoby się wskazywać na przeznaczenie książki dla młodzieży i to nawet niezbyt wyrobionej. W ten sposób każdy czytelnik ma — obok stron, które go zajmują — strony, które go nużą i denerwują. Nie jest to zaleta książki.

Ten brak dokładnego wyboru czytelnika, dwoistość adresu, stanowi — jak określiliśmy wyżej — charakterystyczną cechę całej dotychczasowej twórczości Iłłakowiczówny, której manierą poetycką jest pogłębianie, czy też stylizowanie naiwności. W pewnych wypadkach ta stylizowana naiwność nie przeszkadza osiągnięciu rezultatów wręcz doskonałych, w innych — niestety, równie częstych — doprowadza do odtwarzania łatwym i lichym wierszem nieciekawych spostrzeżeń.

Książka ma wady niewątpliwe, wynikające z tej maniery. Ma i inne, wynikające z pewnej postawy psychicznej Poetki, która nie posiada cennego daru odróżnienia rzeczy wielkich od rzeczy małych. Nie mniej jednak książka ma również i dosyć istotne fragmenty, rzucające światło na najmniej dotąd opisaną i najbardziej zamkniętą kartę, dotyczącą Józefa Piłsudskiego, to jest na osobiste życie coraz bardziej odsuwającego się od ludzi Samotnika, uginającego się pod ciężarem nie tylko historii, lecz i konieczności posługiwania się w pewnych momentach — wbrew woli i wbrew całej głęboko humanitarnej naturze — środkami moralnego i fizycznego przymusu. I otóż w tym okresie, w którym nazewnątrz musiał, według słów p. Iłłakowiczówny, „w ludzi ciskać złością“, w odosobnieniu i izolacji, w otoczeniu szczupłego grona ludzi, mogła się swobodnie ujawniać i rozprężać tajona w wystąpieniach publicznych dobroć i pobłażliwość wszystko rozumiejącego człowieka.

Książka p. Iłłakowiczówny, w rzadkich momentach, w których istotnie pisze nie o sobie, lecz o Marszałku, jest książką o tej utajonej dobroci. I stąd, mimo niewątpliwych braków i mimo gwałtownego ataku p. M. J. Wielopolskiej, pozostanie ciekawym, choć nieco naiwnym przyczynkiem do zamkniętego w dniu 12 maja r. 1935 okresu naszej historii.

Nie będziemy tu zatrzymywali się dłużej nad formami ataku p. Wielopolskiej. W zapale łowów na „pliszkę“ p. Wielopolska dosiadła już nie bojowego rumaka, lecz zgoła jakiegoś ognistego smoka, aby pognębić przeciwniczkę pod każdym względem, jako pisarkę, jako kobietę i jako człowieka.

Efekt tego rodzaju łowów nie okazał się dobry. Przeciwnie, wywołał mobilizację silnej linii obrony książki p. Iłłakowiczówny, która w ten sposób uzyskała bezporównania mocniejszą pozycję, niżeli miała i mogła mieć uprzednio.

Nie to jednak w danej sprawie z punktu widzenia zasadniczego jest najważniejsze. Najważniejsze jest niebezpieczeństwo, jakie się na marginesie tej sprawy pojawiło, w postaci głosów, które domagają się nowej formy cenzury na wszystko, co się w Polsce pisze i pisać będzie o Marszałku Piłsudskim.

Projekt ten jest niezmiernie niebezpieczny. Żywej i wielkiej wartości, tkwiącej w prawdzie i legendzie życia i dzieła „największego z Polaków“, musiałby nadać ceremonialną martwotę czcią otoczonego posągu.

Trzeba rozróżniać dwie rzeczy: złą wolę i ewentualną nieudolność hołdu. Pierwsza jest, oczywiście, profanacją zbiorowego uczucia narodu. Druga — może być tylko tym, czym jest w istocie: nieudolnością.

Czy nieudolność taka może pomniejszyć wielkość Marszałka Piłsudskiego? — Cóż za przesadna i małoduszna obawa! — W poczuciu istotnej wielkości tego Imienia nie obawiajmy się powtórzyć starej, przez pierwszego kronikarza polskiego już w końcu XII wieku zaobserwowanej prawdy, że gwiazdy nie tracą nic ze swej jasności, „chociaż je Etiopowie strasznie czarnymi pokazują palcami!“

Jeśli jesteś przyjacielem pisma — staraj się zjednać mu prenumeratorów

NOTATNIK GOSPODARCZY

Złoto i zaufanie

Komunikat urzędowy oznajmił o akceptowanych już przez Radę Banku Polskiego projektach zmiany statutu naszej instytucji emisyjnej. Wzorem szeregu państw, jak Anglia, Finlandia, Norwegia, Szwecja postanowiono wprowadzić do statutu nową zasadę zwolnienia pewnej stałej części emisji banknotów od obowiązku pokrycia. W myśl tej zasady Bank Polski obowiązany jest, zamiast dotychczasowego pokrycia obiegu biletów bankowych w wysokości 30%, posiadać zapas złota w stosunku przynajmniej 40% lecz tylko sumy, o jaką obieg biletów bankowych łącznie ze stanem natychmiast płatnych zobowiązań przekraczać będzie kwotę 800 milion. zł. Wprowadzona zostanie w ten sposób t. zw. emisja fiducjarna, której wysokość może być przez Radę Banku za zgodą Ministra Skarbu podwyższona, w zależności od sytuacji na rynku pieniężnym, jednak najwyżej do wysokości 1.200 milj. zł.

Równolegle z tym zasadniczym posunięciem projektowane jest podwyższenie granic niektórych operacji banku, jak np. lombardu papierów procentowych do 300 milionów zł., dyskonta biletów skarbowych do 400 milionów. Bezprocentowy kredyt Skarbu Państwa ulegnie zwiększeniu ze 100 do 150 milionów zł. Zamierzona jest również konsolidacja krótkoterminowych kredytów inwestycyjnych i zamiana ich na długoterminowe.

Prasa codzienna omówiła już gospodarcze znaczenie tych pozytywnych posunięć. Zbyt mało jednak zwrócono uwagi na psychologiczny moment reform — wprowadzenia obok elementu materialnego, jakim jest złoto, wartości przez wielu lekceważonej — zaufania obywateli. A jednak trzeba pamiętać, że w naszej rzeczywistości ekonomicznej rola czynników niematerialnych powinna być bez porównania wyższa niż w wielu innych krajach. Wyznacza ją ogrom prac, jakie na nas czekają, wyznaczają obiektywne warunki — nadmiar rąk do pracy, niedomiar kapitałów. Nie jesteśmy na tyle bogaci, abyśmy mogli, jak Stany Zjednoczone, utrzymywać 83% pokrycia obiegu. Powinniśmy raczej umieć tak jak Niemcy, ograniczyć w razie potrzeby pokrycie materialne na rzecz pokrycia moralnego, wynikającego z wiary w zdrowe i naturalne warunki naszej gospodarczej przyszłości.

Dyskrecje nie na miejscu

(aa) Jest rzeczą niezwykle ciekawą obserwować, jak każdy mniej lub więcej nieudany „wyczyn" biurokratyczny jest honorowany na łamach prasy, broniącej intresu prywatnego przemysłu, przeważnie tego najcięższego i jak tam dobrze mu się powodzi w splendorze wielkich tytułów i tłustych tytulików, uwag i komentarzy. Pod tym względem solidarność wielu dzienników, reprezentujących różne polityczne nastroje, jest zdumiewająca. Nic dziwnego zresztą, idzie przecież o „klimat dla inicjatywy prywatnej"...

Nie piszę tego wszystkiego po to, by żądać pobłażliwości dla pomyłek i błędów popełnianych w przedsiębiorstwach państwowych, czy administracji, wydaje mi się jedynie, że cienie i blaski powinny być rozkładane równomiernie i obiektywnie i że nie powinno się w takim razie niedoceniać materiałów dostarczonych przez praktykę prywatnego życia gospodarczego. Tymczasem niezauważona, złośliwy by powiedział celowo przemilczana, została np. sprawa kartelu hut szklanych, choć zawierała ona wiele interesujących danych, charakteryzujących atmosferę w jakiej pracuje inicjatywa prywatna i kartelowa. Podał je dr Piotrowski w „Polsce Gospodarczej" (nr. 5 z 4 lutego br.):

Orzeczeniem Ministra Przemysłu i Handlu z czerwca r. 1937 rozwiązano 5 umów kartelowych w ramach kartelu hut szklanych, na zasadzie których Tow. Połudn.-Pol. Hut Szklanych Belgijska S. A. w Warszawie wypłacało kilku unieruchomionym hutom szkła okiennego, odszkodowanie za niepodejmowanie produkcji tego szkła w Polsce. Odszkodowanie to było stosunkowo wysokie, bo wynosiło ok. pół miliona zł. rocznie i ciążyło na kosztach produkcji szkła, a pośrednio na cenie, którą płacił konsument. Porozumienie powyższe nie miało żadnego uzasadnienia z punktu widzenia interesów gospodarki narodowej, gdyż odszkodowania pobierane były przez huty, których istnienie nie było tak ważne, by ciążyć miały one na reszcie przemysłu szklanego i na odbiorze szkła okiennego.

Jedna z tych umów zawarta była przez Belgijską S. A. z czterema wspólnikami huty szklanej „Wisła" w Jabłonnie, którzy za sumę niewielką, bo wynoszącą 2 tys. zł. miesięcznie zobowiązali się do niezajmowania się ani bezpośrednio, ani pośrednio jakąkolwiek produkcję szkła okiennego na obszarze celnym Polski. Pikanteria tej umowy polega na fakcie, że spółka „Huta szklana Wisła" miała hutę szkła tylko w brzmieniu swej firmy. W rzeczywistości spółka ta żadnej huty nie miała, dzierżawiła ona jedynie małą część nieczynnej huty szkła butelkowego (nie okiennego w Jabłonnie, należącej do Jakóba Potockiego) i tą część przystosowała w sposób prymitywny do ręcznego wyrobu szkła okiennego. Na takich podstawach oparta „huta" czynna była zaledwie 1 rok, kiedy cena szkła okiennego była stosunkowo wyższa, a po obniżeniu się jej przeszła na bardziej opłacalne pobieranie odszkodowania za samą groźbę ponownego podjęcia produkcji przez uczestników spółki.

Właściwie do tych faktów nie potrzebne są żadne komentarze. Ilustrują one doskonale zarówno przedsiębiorczość niektórych przedsiębiorców, jak też metody, jakimi osiąga się możliwie najwyższą kartelową cenę. Trudno jednak pragnąć, by w tych warunkach przemysł rozwijał się w tempie dyktowanym przez interes nadrzędny — ogólny.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Kazimierz Hedinger. Polska polityka zbożowa. Poznańskie Prace Ekonomiczne pod red. prof. dra Edwarda Taylora. Poznań, 1939.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza — historyczna obrazuje rozwój polityki zbożowej państwa na przestrzeni lat 1924 — 1938. Autor pominął pierwsze lata, bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości, ponieważ stały one „pod decydującym wpływem anormalnych warunków powojennych", przy istnieniu których trudno mówić o słuszności stosowania przez rząd pewnych metod z punktu widzenia ekonomii. Za to pracę nad odtworzeniem rozwoju polityki zbożowej w okresie 1924 — 1938 potraktował autor niewykle sumiennie, starając się uwzględnić wszelkie momenty, mające znaczenie dla tej polityki lub ją wyjaśniające. Toteż obok ustaw i rozporządzeń książka zawiera fragmenty dyskusji w Sejmie i Senacie, głosy prasy fachowej i zawodowej oraz opinie wypowiadane w wydawnictwach naukowych. Całość omawianego okresu autor podzielił na trzy części.

Lata gospodarcze 1924/25 — 1928/29 to okres „walki zorganizowanego rolnictwa o politykę zbiorową" przeciw stawianiu na plan pierwszy interesów aprowizacji.. W okresie tym „rolnictwo zorganizowane potrafiło, choć często z bardzo wielkim trudem, przeforsować swe postulaty. Pierwszym etapem była kompromisowa koncepcja rezerw zbożowych, następnym — zniesienie ceł wywozowych. Ceny zbóż osiągnęły poziom znacznie wyższy od światowego, wobec czego nastąpiła intensyfikacja uprawy, która dała wzmożenie ilości zbiorów. Równocześnie wzrastała w atmosferze ogólnej „prosperity" konsumcja. Ostatni rok omawianego pięciolecia jest momentem zwrotnym — rokiem kryzysu".

Konsumcja maleje a z nią spadają ceny zbóż, co wobec zwiększonych intensyfikacją kosztów produkcji grozi katastrofą. Zagrożone rolnictwo wywiera presję na rząd, który, nie mając własnego programu, idzie po linii żądań rolnictwa, stosując środki, mające na celu doraźne podwyższenie cen zboża. Są to lata 1929/30 — 1934/35 — okres „rozkwitu jednostronnie zbożowej polityki rolniczej", „wprowadzenia premii zbożowych w Polsce (r. 1929), ich dalszego rozwoju, wprowadzenia superpermii, rozrostu akcji interwencyjnej P. Z. P. Z.".

Z rokiem gospodarczym 1935/36 zaczyna się okres ostatni. Jego tendencję zasadniczą charakteryzuje dążenie do uwszechstronnienia produkcji rolniczej przede wszystkim przez równomierny rozwój produkcji hodowlanej.

Druga część książki poświęcona jest ocenie środków stosowanych w polskiej polityce zbożowej. Autor dzieli je na koniunkturalne i strukturalne, zaznaczając, że nie ma tu wyraźnej granicy. Pierwsze — zdążające do usunięcia samych objawów, nie sięgające do przyczyn zła — autor uznał za niewłaściwe: kosztowały dużo Skarb Państwa, rezultaty zaś były nikłe wzgl. wręcz przeciwne do zamierzonych. Drugie. mające na celu zmiany struktury produkcji rolniczej, a więc przede wszystkim jej uwszechstronnienie oraz usprawnienie i potanienie handlu artykułami rolnymi (budowa chłodni, elewatorów, rozwój spółdzielczości itp.), nie dają efektów doraźnych, ale stwarzają trwałe podstawy do uzyskania w przyszłości tej tak bardzo pożądanej „opłacalności" produkcji rolniczej.

Autor należy do najmłodszego pokolenia polskich ekonomistów, tego, które opuściło mury wyższych uczelni w okresie dążeń do bardziej programowego ujmowania zagadnień gospodarczych. Ta programowość ma nie tylko znaczenie czysto gospodarcze (autor wyraźnie stwierdza, że polityka rolnicza, a więc i zbożowa, jest elementem składowym całości polityki gospodarczej, nie mogąc być traktowaną odrębnie) ale i psychiczne: człowiek nie jest już więcej biernym obserwatorem procesów gospodarczych, ale ich świadomym współtwórcą. Państwo, jako czynnik w najwyższym stopniu reprezentujący wolę i zdolność świadomego tworzenia, ma tutaj znaczenie dominujące. Świadomość tego jest udziałem tego najmłodszego pokolenia polskich ekonomistów, a więc i autora.

W. S.

ROZPOWSZECHNIAJCIE

„NARÓD I PAŃSTWO"

PRZEGLĄD PRASY

Idea i życie

Gazeta Polska (nr. 39), nawiązując do akcji przeciwników Obozu Zjednoczenia Narodowego poddaje gruntownej i szczegółowej analizie metody prowadzonej przez nich walki z wprowadzeniem w życie idei zjednoczenia, pisząc m. in. co następuje:

„Polemiści nasi sięgający do arsenału t. zw. „obiektywnych danych" popełniają z reguły pewną niezmiernie charakterystyczną woltę. Uważając za swój obowiązek zwalczanie O. Z. N. za pomocą wszelkich argumentów, podkreślają oni demonstracyjnie wszelkie fakty, świadczące, że zjednoczenie jeszcze nie nastąpiło, że rozbicie jeszcze trwa. Każda dosłownie okazja jest wyzyskana dla radosnego podkreślenia, że hasła zjednoczenia nie przyjęły się jeszcze w społeczeństwie na sto procent i że obok O. Z. N. istnieją inne jeszcze siły polityczne, że społeczeństwo polskie nie jest jednolite i że O.Z.N. jest tylko jedną z sił, sprawujących rząd dusz w Narodzie. Prostym wnioskiem tych stwierdzeń bywa zazwyczaj żądanie podzielenia się wpływami, zrezygnowania z dalszych wysiłków nad zjednoczeniem, „likwidacji systemu" itp.".

Przytoczony wyżej tok rozumowania — powiada pismo — jest tak charakterystyczny, że warto mu poświęcić nieco więcej uwagi:

„Antagoniści OZN zapominają bowiem (względnie — nie chcą zrozumieć), że fakt rozbicia społeczeństwa bynajmniej nie stanowi dla nas żadnej rewelacji. Fakt ten nie tylko nie jest przez Obóz negowany lub bagatelizowany, lecz wręcz przeciwnie — stanowi on centralny punkt wyjścia wszystkich prac Obozu. Celem wysiłków OZN nie jest przecież nic innego, jak właśnie walka z rozbiciem społeczeństwa. Gdyby nie było tego rozbicia, nie byłoby potrzebne powstanie Obozu. Im głębsze jest to rozbicie, tym wszechstronniejszy i głębszy winien być jego wysiłek. Przytaczanie przykładów rozbicia głosów przy wyborach samorządowych nie jest argumentem przeciwko idei Zjednoczenia, lecz — na rzecz tej idei. Jeśli — dajmy na to — w Borysławiu większość mandatów zdobyła Polska Partia Socj., a w Poznaniu — Stronnictwo Narodowe, to nie wynika stąd w najmniejszym stopniu, że Obóz Zjedn. Narodowego powinien zwinąć swoje sztandary. Wynika stąd ten tylko nakaz, że winien on ustokrotnić swoje wysiłki, ażeby zapobiec fatalnym skutkom rozbicia Narodu".

Słusznie więc robi „Gazeta Polska", przypominając raz jeszcze, na czym polega sens istnienia i działalności Obozu Zjednoczenia Narodowego:

„Niejednolitość ideowa społeczeństwa polskiego stanowi nie tylko punkt wyjścia działalności Obozu, lecz wiąże się również najściślej z metodą jego pracy w terenie. Obóz nie żąda bowiem od nikogo przyjęcia na wiarę jego założeń, lecz udowadnia w sposób rozumny fatalne i niebezpieczne skutki rozbicia. W sposób uporczywy i stały powtarza on swoje ceterum conseo. Naród, znajdujący się w tej sytuacji co Polska, nie może pozwolić sobie na luksus walk wewnętrznych i rozbicia ideowego. Swoją mniejszą liczebność w stosunku do sąsiadów winien on zrekompensować jednolitością myśli politycznej i jednokierunkowością wysiłków. Twórcze siły poszczególnych jednostek lub grup społecznych nie mogą być skierowane przeciwko sobie, gdyż wtedy zniosą się wzajemnie, lecz winny się kierować ku realizacji celów nadrzędnych i wspólnych.

Pod grozą największego niebezpieczeństwa Naród winien wydać walkę wszystkim teoretykom i propagatorom rozbicia, niezależnie od tego, w jak ponętną formę będą te teorie ubrane. W sposób najbardziej zdecydowany winien on przeciwstawić się wszelkim doktrynom, szerzącym w masach przekonanie, że „Polska rozbiciem stoi". Hasło to, głoszone dzisiaj w obliczu scalonych, dynamicznych i jednolitych psychicznie społeczeństw, może mieć takie same skutki, jak w swoim czasie hasło „Polska nierządem stoi" — w obliczu rządnych, zdyscyplinowanych i uzbrojonych sąsiadów.".

Dwudziestolecie Sejmu

Kurjer Warszawski (nr. 41) w rozważaniach nad 20-tą rocznicą Sejmu dochodzi do wniosku, że jego rola w pierwszej początkowej fazie naszego bytu państwowego winna być oceniona bezwzględnie pozytywnie. Tło czasów, w jakich Sejm ten powstawał, przedstawiało się — według cytowanego pisma — następująco:

„Sejm polski rodził się pod znakiem potężnej, idącej w mistycyzm, wiary społeczeństwa w błogosławieństwo jego pracy. Ta wiara nie była u nas odosobnionym w Europie pędem uczuciowości społecznej; ale kto wie, czy u nas nie występowała silniej, niż gdzieindziej. Była to wiara w urzeczywistnienie nareszcie sprawiedliwości historycznej, ucieleśniana w instytucjach kolegialnych. Przez długi okres straszliwych doświadczeń podczas wielkiej wojny całą nadzieją umęczonego w oczekiwaniu narodu polskiego było przekonanie o sprawiedliwości, którą mu wymierzy mający zakończyć pożogę po zwycięstwie sił, reperezentujących słuszną sprawę — kongres pokojowy. I tak samo wierzono, że w samej Polsce, wewnątrz nowego państwa, do którego tęskniły pokolenia, wszystko urządzi tak, by każda tęsknota się urzeczywistniła, urządzi najlepiej — Sejm polski.

Wiara ta, wyhodowana głęboko w Polsce przez irrealizm polityczny, tak mocno rozwinięty przez brak własnego życia państwowego, musiała być zaczynem fermentu szczególnie ostrego, gdy miała się skonfrontować z realizacją. W tym było niewątpliwie najgłębsze podłoże zawodu, z jakim patrzeć poczęto na wyniki prac ciał kolegialnych. A były one przecież niczym innym, tylko emanacją sił, jakie realnie występowały; a fakt, że były takie, a nie inne, dowodzi jedynie, iż sprawdzała się na nich wiernie zasada reprezentacji".

Rzeczy, które Polsce dał pierwszy Sejm, nie były imponujące ani też zakrojone na miarę gigantyczną, ale były konkretne, niezbędne i dostosowane całkowicie do potrzeb chwili:

„A jednak, mimo, że pierwszy Sejm polski nie mógł stwarzać tego, czego spodziewał się po nim mistycyzm wielkiej tęsknoty historycznej, dał on młodemu państwu wszystko, czego ono mogło realnie od niego oczekiwać. Zadania zaś miał nie łatwe. Nie co innego, tylko ta wielka wiara, jaką w nim pokładano była wytworem poczucia, iż zadania są ogromne, tak ogromne, że tylko właśnie jakaś siła jak gdyby irracjonalnie potężna może sobie z nimi poradzić. Pierwszy Sejm dał państwu natychmiast podstawę ustrojową (w postaci Krótkiej Konstytucji), dał rekruta, zajął się najżywiej odbudową zniszczonego gospodarstwa, podjął szeroką pracę tworzenia stałej Konstytucji, a skoro, jakgdyby mało było jeszcze przerastających niemal siły zadań tworzenia państwa, zwaliła się na nie straszliwa nawała zaborcza, potrafił ograniczyć się sam na rzecz Rady Obrony państwa, stworzyć aparat obrony, dać tej obronie, do dyspozycji Naczelnego Wodza J. Piłsudskiego, co tylko dać mógł i zespolić wszystkie siły polityczne narodu pod kierunkiem koalicyjnego rządu Obrony Narodowej W. Witosa. Gdy spojrzymy na to z obiektywizmem, na jaki historia zasługuje, będziemy musieli powiedzieć, że Sejm ówczesny spełnił swój obowiązek tak, jak można było najlepiej".

19 lat morskiego oddechu

W związku z 19-tą rocznicą odzyskania przez Polskę dostępu do morza i równocześnie rocznicą naszej marynarki wojennej słusznie przypomina POLSKA ZACHODNIA (nr. 41) wielkie przywiązanie społeczeństwa polskiego do morza:

„Miłość Polaków do morza rośnie z rokiem każdym. Wszyscy, dosłownie wszyscy, kochamy nasze morze i naszą marynarkę. Mówią o tym — jakże wyraźnie — owe burzliwe oklaski, jakimi społeczeństwo polskie wita każde pojawienie się oddziałów marynarki wojennej na rewiach, mówią o nich tłumy przybyszów z całej Polski, ściągających rokrocznie do Gdyni — na „Święto Morza".

Niemniej słuszne są dalsze uwagi pisma na temat stosunku Polaków do morza:

„Naszego stosunku do morza nie może jednak wyczerpać wyłącznie sentyment. Miłość morza — jak każda miłość — wkłada na nas obowiązek pozytywnej, realnej pracy nad mnożeniem morskiego dorobku Polski. Tylko całkowite wypełnienie tego obowiązku może być dowodem, że miłość morza ma wartość rzeczywistą, że miłość morza ma wartość rzeczywistą, że nie jest jedynie pięknym, ale czczym wzruszeniem.

Dotychczasowe nasze, spore już osiągnięcia, nie powinny wpłynąć na osłabienie tempa pracy. Przeciwnie, winny być podnietą do dalszych wysiłków i poczynań. To też w rocznicę powrotu morza do Polski — nie zapominając o wspaniałym rozwoju Gdyni, największego dziś portu na Bałtyku (w r. 1937-ym ruch statków handlowych wyniósł 5,6 milionów ton rej. netto), nie zapominając, że polska bandera dociera w stałej komunikacji do Ameryki Północnej i Południowej, Afryki i Azji — myśli nasze kierujemy do tego wszystkiego, co jeszcze stworzyć musimy, by stać się naprawdę państwem morskim".

Panikarze i defetyści

Kurjer Poranny (nr. 40), omawiając w obszernym wywodzie nieodpowiedzialną i szkodliwą z punktu widzenia interesów państwa akcję „patriotycznych" strachajłów, polegającą na wyolbrzymianiu różnych wydarzeń z zakresu polityki międzynarodowej, dochodzi do wniosku, że defetystyczna postawa tych rzekomo patriotycznych elementów wywodzi się z niewiary w siłę Państwa Polskiego. Pismo podkreśla, że uprawiając tego rodzaju akcję owi rzekomi patrioci idą w sukurs różnym elementom międzynarodowym, łowiącym ryby w mętnej wodzie:

„Można by też te maniackie zrzędzenia traktować jako objawy patologiczne, gdyby nie to, że są one często nieświadomym echem istotnych kampanij, rozwijanych za granicą, a mających na celu wywołanie w świecie, a również w Polsce, pewnych nastrojów, pewnych obaw, osłabiających nerwy i trzeźwości sądu.

Żyjemy w czasach istotnych zmagań międzynarodowych. Zmagania są zacięte i bogate w następstwa, ale bezkrwawe. Toczy się po prostu walka o nerwy, o odporność psychiczną społeczeństw. Wygrywa ten, kto ma nerwy silniejsze, kto mniej się boi.

Cała wielka technika współczesnej propagandy oddana jest na usługi tej zawziętej walki. Metody jej mają docierać do serc i mózgów milionowych rzesz różnych narodów, budząc wśród jednych sztuczne nadzieje, wśród innych zwątpienie i strach.

Polska nie jest, niestety, odgrodzona od działań tej propagandy, przenoszonej tak często na falach eteru. Zamiast jednak okazać wobec świadomie bałamutnych wieści i szerzonych nastrojów odporność i lekceważenie, pewne czynniki, zaślepione partyjnictwem, a w imię nieraz poczciwie i prymitywnie pojętego patriotyzmu, szerzą dalej te bezsensowne gadki, mające osłabić zaufanie do państwa, do jego siły oraz czujności".

Kurjer Poranny konkluduje więc najzupełniej słusznie:

„Czasy dzisiejsze wymagają na zewnątrz wielkiej trzeźwości w ocenie zjawisk międzynarodowych a na wewnątrz montowania siły, z czym nie da się pogodzić szerzenie przez pewne środowiska defetyzmu oraz panikarskich plotek. Ta nieodpowiedzialna i niepoważna robota powinna raz ustać".

W obliczu powszechnej mobilizacji pracy

Nowy Kurjer (nr. 41), nawiązując do wypowiedzi min. spraw wojskowych, gen. Kasprzyckiego, że Polska musi wejść teraz w fazę jeszcze większych wysiłków, stwierdza, że wypowiedź ta odnosi się do najkapitalniejszego problemu polskiej gospodarki w chwili obecnej, t. zn. do sprawy dalszego uaktywnienia polityki finansowo-gospodarczej:

„Polska — mówił gen. Kasprzycki — musi teraz wejść w fazę jeszcze większych wysiłków". To znaczy — musi przeprowadzić powszechną mobilizację pracy ludzkiej, która, jak słusznie powiedział min. Roman, jest rzeczą najcenniejszą i największym bogactwem Polski.

Polska nie posiada wielkich zapasów złota, ale drogi i koleje buduje się nie ze złota, lecz z kamieni, asfaltu, żwiru i żelaza, a to wszystko posiadamy, mamy również olbrzymi zapas tęgich mózgów i krzepkich rąk, a brakowi znaków obiegowych zaradzić można. Pierwszy śmielszy krok w tej dziedzinie został uczyniony. Każdy dalszy — rozważny ale śmiały — społeczeństwo polskie powita z uznaniem, które przerodzi się w twórczy zapał, gdy naród ujrzy przed sobą realną możliwość wyładowania swej energii w pracy, tworzącej nowe wartości, dobrobyt i potęgę Polski".

Ocena sytuacji gospodarczej

Środki nadzwyczajne, ale zasady normalne — tak lapidarnie ocenia *Ilustrowany Kurjer Codzienny* (nr. 42) ostatnią mowę programową wicepremiera inż. Kwiatkowskiego, wygłoszo-

ną w dniu 9.2. na komisji budżetowej Sejmu a stanowiącą konieczną — ze względu na wysuwane żądania — konfrontację pragnień z rzeczywistością.

„P. wicepremier Kwiatkowski bijąc na alarm, wykazując obowiązujący go, jako ministra skarbu pesymizm, nie chciał budzić w społeczeństwie uczucia bezradności i pasywizmu, ale wręcz przeciwnie, chciał zachęcić do wzmożenia aktywizmu. Chciał jednak równocześnie odebrać ludziom szereg złudzeń.

Zbawienie nie leży w bezpłodnem eksperymentowaniu, czy w lekkomyślnym wydatkowaniu grosza publicznego i w ciągłem nakładaniu na skarb coraz to nowych ciężarów i obowiązków. Szastanie groszem publicznym dla osiągnięcia ożywienia gospodarstwa— to zbyt prosta recepta, która daje tylko na krótko uczucie błogostanu, co jednak zazwyczaj kończy się źle.

Tak, jak w technice, np. w technice budowlanej, obowiązują pewne proste zasady, których przestrzeganie wychodzi każdemu na pożytek, tak i w gospodarstwie skarbowem obowiązują pewne stałe normy, których przestrzeganie wychodzi na dobre zarówno państwu, jak i jego obywatelom".

Pismo konkluduje:

„Niewątpliwie, okres, w którym żyjemy, jest okresem nadzwyczajnym. Wymaga on pod wielu względami środków nadzwyczajnych. Chodzi tylko o to, by w poszukiwaniu tych środków nadzwyczajnych zachować właściwą miarę, by nie wprowadzać chaosu. Trzeba zachować zasady normalne i środki nadzwyczajne uważać tylko za odstępstwo i wyjątek od normy — a nie postępować przeciwnie, tj. przyjąć środki nadzwyczajne jako normę, a zasady normalne, jako wyjątek. Tak też stawia sprawę przemówienia wicepremiera.

Chwila bieżąca narzuca nam kombinację środków nadzwyczajnych z zasadami normalnemi, ale kombinacja ta musi być w zgodzie z możliwościami danego kraju i całością jego struktury gospodarczej.

Możemy to sformułować w ten sposób:

Gospodarka wojenna jest dobra w czasie wojny, natomiast narzucona przed czasem, osłabia niepotrzebnie gospodarstwo.

W czasie pokoju obowiązuje gospodarka pokojowa".

Nowy sens zagadnienia

Kurjer Wileński (nr. 38), zwracając uwagę na zmiany, jakie zaszły w sposobach oceny problemu kolonialnego na przestrzeni minionego stulecia, podkreśla, że w chwili obecnej problem ten winien być rozwiązany zgodnie z duchem czasu i z nowymi wymaganiami, jakie dyktują potrzeby chwili.

„Kolonie są owocem gospodarki kapitalistycznej. Dziś mamy już agonię owego systemu. Podkreśliliśmy, że naiwnością jest czynienie zarzutów z racji faktów w tamtym okresie dokonanych. Ale nie można usiłować per fas et nefas konserwować sytuacji nowym warunkom już nie odpowiadającej. Mocarstwa kolonialne winny to zrozumieć. To jest właśnie nowy sens zagadnienia kolonialnego.

Skończył się okres korsarstwa kapitalistycznego. Narody organizują się na zasadzie demokracji społecznej. Rządy mają obowiązek zabezpieczenia możliwości egzystencji wszystkich warstw. Stąd konieczność zaciskania pasa, by znaleźć możność życia dla wszystkich. Ale asceza ta ma swoje granice.

Jeżeli w tych warunkach niektóre państwa konserwują ogromne tereny kolonialne, zamykając je dla narodów głodnych, tylko po to aby zabezpieczyć rabunkowe zyski kilku swoim firmom kapitalistycznym, to rzecz oczywista, anachronizm jest zbyt wyraźny. A przykładów takich można znaleźć wiele. Państwa mające u siebie ubytek ludności konserwują tereny kolonialne tylko w interesie różnych grup kapitalistycznych.

Utrzymywanie tego stanu rzeczy i odmawianie rewizji zagadnienia kolonialnego będzie musiało stworzyć sytuację nieznośną. Napięcie wojenne będzie musiało wzrastać, grożąc nieobliczalną katastrofą.

Dlatego mocarstwa kolonialne stają wobec poważnego problemu moralnego. Zagadnienie kolonialne należy poddać rewizji i rozwiązać zgodnie z nowym duchem czasu. Ustępstwo to jest rozwiązaniem jedynie moralnym i jedynie dalekowzrocznym".

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Ferdynand Goetel. POD ZNAKIEM FASZYZMU. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 213.

F. S. Smythe. OBÓZ SZÓSTY. Dzieje wyprawy na Mount Everest w roku 1933. T-wo Wyd. „Rój", Warszawa 1938. Str. 336.

Lytton Strachey. KRÓLOWA WIKTORIA. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1938. Str. 328.

Lytton Strachey. LUDZIE EPOKI WIKTORII. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1938. Str. 270.

Melchior Wańkowicz. SZTAFETA. Książka o polskim pochodzie gospodarczym. Wydawnictwo Biblioteki Polskiej. Warszawa 1939. Str. 527+4 wielobarwne plansze + 386 ilustracji + 19 karykatur.

Maria Kuncewiczowa. ZAGRANICA. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 75.

Maria Kuncewiczowa. W DOMU I W POLSCE. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 88.

Roger Martin du Gard. LATO 1914. Trzy tomy. Dzieła XX wieku. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 247 + 309 + 342.

Adolf Rudnicki. LATO. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1933. Str. 231.

W. Speyer. HISTORIA JEDNEJ NOCY. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 217.

Aldeus Huxley. NIEWIDOMY W GAZIE. Dzieła XX wieku. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1938. Str. 288.

Władysław Tomkiewicz. WIĘZIEŃ KARDYNAŁA. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 243.

Alicja Tisdale Hobart. YANG i YIN. Przeżycia amerykańskiego lekarza w Chinach. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 318.

Stanisław Mackiewicz. KSIĄŻKA MOICH ROZCZAROWAŃ. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 381.

A. Valentin. HENRYK HEINE. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1938. Str. 284.

Józef Chałasiński. MŁODE POKOLENIE CHŁOPÓW. Procesy i zagadnienia kształtowania się warstwy chłopskiej w Polsce; z przedmową Floriana Znanieckiego. Cztery tomy. Państwowy Instytut Kultury Wsi Warszawa 1938.

Marian Ruth-Buczkowski. ZWYCZAJNOŚĆ i PRZECZUCIE. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1938. Str. 262.

Emil Kuroński. POLACY W NIEMCZECH W URZĘDOWYCH SPISACH LUDNOŚCI. Biblioteka „Spraw Narodowościowych" Nr. 37. Nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Warszawa 1939.

Kazimierz Hedinger. POLSKA POLITYKA ZBOŻOWA. Poznańskie prace ekonomiczne pod red. prof. dra Edwarda Taylora, nr 28. Poznań 1939.

Halina Górska. UCIECZKA. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 298.

Witold Hulewicz. PRZYBŁĘDA BOŻY. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa 1939. Str. 382.

Ignacy Fik. DWADZIEŚCIA LAT LITERATURY POLSKIEJ (1918 — 1938). Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Kraków 1939.

Sally Salminen. KATRINA. Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa. Str. 499.

Władysław Sala. STARZY I MŁODZI. Warszawa 1939. Str. 11.

Zygmunt Wojciechowski. PEŁNIA RACJI IDEOWEJ PODSTAWĄ ZJEDNOCZENIA. Nakładem Wydawnictwa „Awangardy Państwa Narodowego", Biblioteka „Awangardy". T. XII. Poznań 1939. Str. 157.

NUMER POPRZEDNI 3—4 ZAWIERA:

DZIAŁY:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.